Nr. 48. **Poznań, Niedziela, dnia 30-go Listopada 1902 r.** **Rok VI.**



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.
na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
***Pod opaską:** w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal.,*
za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38.
Telefon Nr. 1246. *Telefon Nr. 1246.*

rys. K. Szmyt. 1901. Poznań

W listopadową rocznicę.

Siedmdziesiąta i druga rocznica owej ponurej nocy listopadowej, w której wśród huku strzałów i wśród dźwięków pieśni rewolucyjnych na bruku Warszawy, tyle serc żywiej zabiło, tyle zrodziło się nadziei i wiary w lepszą przyszłość. I zawrzała potem walka, krwawa, zacięta i trwała blizko rok cały, aby zakończyć się strasznym zawodem i bolesnem rozczarowaniem.

„Nie było, nie było Polsko dobrze tobie — wszystko się prześniło, a twe dzieci w grobie!" — śpiewał potem twórca „Pieśni o ziemi naszej," a wielu bardzo wielu w narodzie podzielało jego zdanie, jego żal za tem, co stracono.

I rzeczywiście — stracono ogromnie dużo. Powstanie miało przynieść wolność narodowi, a tymczasem zabrało mu ostatnie nawet strzępy dawnej politycznej niezależności i przez to stało się niejako pogrzebem starej Polski. Dopóki istniało Królestwo Kongresowe z polską armią, polskim rządem, polską monetą, świat jeszcze musiał liczyć się z nami, musiały się liczyć mianowicie wszystkie trzy rządy zaborcze, nietylko rosyjski, ale także pruski i austryacki. Z chwilą gdy upadło, znikły też ostatnie względy i wszystkie trzy zabory porówno oddane zostały na łaskę lub niełaskę wrogów. Było to więc jedno z najcięższych nieszczęść, jakie nas po rozbiorze spotkać mogło. Lecz czyż godzi się winić o to tych, którzy wywołali powstanie, czyż godzi się potępiać ich za to?

Nie! po trzykroć nie! Porywów takich nie można sądzić wyłącznie chłodnym rozumem, przedewszystkiem zaś nie według skutków — jakie wydały. Skutki bowiem nie zawsze odpowiadają interesom i zamiarom w takich razach. I tu, pragnąc wydać sąd sprawiedliwy o tej wiekopomnej chwili oraz o tych, którzy ją wywołali, trzeba wziąć w rachubę dużo okoliczności, całe ówczesne położenie — a na wszystko patrzeć nie tylko wzrokiem rozumu, ale i serca. Pomyślmy tylko! Z zachodu wiał ku Warszawie wiatr wolności, we wszystkich krajach wrzało i zanosiło się na walkę z absolutyzmem, z przemocą. Rosya była słaba, znużona i wyczerpana wojną turecką, przytem również trawiona ruchem rewolucyjnym. Królestwo kongresowe posiadało zaś siły zarówno wojskowe jak i finansowe, jakiemi dawna Polska nie rozporządzała już od czasów *Sobieskiego,* o jakich *Kościuszko* nawet marzyć nie mógł, posiadała organizacyą, jakiej może przedtem w Polsce wogóle nigdy nie było.

A tu równocześnie z każdym dniem stawało się coraz bardziej widocznem, że Rosya mimo swej chwilowej słabości dąży powoli, lecz systematycznie do zniesienia odrębności Królestwa, do wchłonienia go w swój ściślejszy organizm. Coraz bardziej ścieśniała zagwarantowane Polakom swobody, coraz jawniej narzucała im rządy absolutne, tak przeciwne żywym jeszcze wówczas tradycyom i usposobieniu ówczesnego pokolenia. Książę Konstanty kochał wprawdzie Polaków, lecz kochał ich po swojemu, tak, iż miłość ta przybierała niekiedy cechy tyraństwa i srogości. Pragnął on ich gwałtem przerobić na wiernych poddanych według modły rosyjskiej, nie pomnąc na to, że ta modła sprzeciwiała się duszy narodu polskiego.

Cóż więc dziwnego, że gorętsze w narodzie żywioły, że mianowicie krewka młodzież jego nie chciały dłużej znosić ścieśniających się coraz bardziej pęt obcego władzcy, który tak mało liczył się z charakterem i uczuciami Polaków; że porwały się do broni, aby raz wydobyć się z położenia, które uważano za nieznośne. Któryżby naród, posiadający takie same, jak ówczesna Polska kongresowa *siły,* nie postąpił tak samo? *A czy może, gdyby powstanie nie było wybuchło, a mimo to Królestwo taki sam spotkał był los, jaki obecnie zawisł nad Finlandyą, nie oskarżalibyśmy dziś ówczesnego pokolenia, że mogło było wy-*

walczyć niezależność, a nie skorzystało z najlepszej do tego sposobności?

Nie, nie można winić tych, którzy wywołali powstanie. Intencye ich były czyste i zacne, a zamiary bynajmniej nie wykraczały po za miarę sił i możności — i ztąd bynajmniej nie zasługują na zarzut lekkomyślności lub nierozwagi. Wina, że powstanie wybuchło, jest wyłącznie po stronie ówczesnego *rządu carskiego. Jeżeli kiedy, to wówczas była chwila po temu, aby zbratać silnie dwa pokrewne narody, aby zesolidaryzować ich polityczne interesy.* I w społeczeństwie polskiem panował wówczas silny prąd, któryby dziś nazwano „rusofilskim.“ Zamiast atoli skorzystać z tego, zamiast uszanowaniem narodowych właściwości Polaków prąd ten wzmocnić i ustalić, rząd carski przerywał, tłumił go gwałtownie, aż wreszcie popchnięciem Polaków do powstania zniszczył go na długi, długi okres czasu. Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sprawiły to wpływy *niemieckie*, które wówczas w Petersburgu były niemal wszechwładnemi. Historya wykryła nam już dużo z tych ówczesnych machinacyi niemieckich, dużo pozostało jeszcze pokrytych tajemnicą, lecz to co wiemy, wystarcza, aby stwierdzić, że i *w tym czasie Niemcy byli owym klinem, który oddawna już rozczepia ciało słowiańszczyzny.*

Biorąc to wszystko na uwagę, nie można rzucać kamieniem potępienia na tych, którzy powstanie listopadowe wywołali. Inaczej natomiast sądzić trzeba tych, którzy niem później *kierowali.* Tu okazało się ponownie, że umiemy porwać się do rzeczy wielkich, ale ich nie umiemy dokonać, przeprowadzić. Cały przebieg powstania był jednym ciągłym szeregiem wprost strasznych błędów, objawów niesłychanego niedołęztwa, sromotnej słabości ducha ze strony tych, w których ręce naród złożył swe losy. I na nich to ciąży odpowiedzialność za to, cośmy przez powstanie to stracili.

Historya osądziła ich już należycie, a i przed Bogiem zapewne zdali już rachunek z swoich grzechów i błędów. Dziś, w rocznicę powstania nie pora do rozstrząsania ich winy. Myśl narodu zwraca się raczej ku tym, którzy, jak powiada *Kazimierz Jarochowski* — sterczą dotąd kryształowo ponad falą ówczesnych wypadków, do owych *żołnierzy polskich,* do słynnych *„czwartaków,“* ułanów, krakusów i wołyńców, do owych bohaterów z pod *Wawra, Dęba, Igani, Ostrołęki i Warszawy.* Oni nie popełnili błędów, oni nie grzeszyli lekkomyślnością lub niedołęztwem, nie okazywali słabości ducha, oni ochotnie, z niezrównanem męztwem i zapałem nieśli swe życie w ofierze za wolność narodu i ojczyzny, oni zawsze stali na posterunku. Nie zdołali oni ocalić niezależnego bytu polityczno-narodowego — lecz ocalili *dobrą sławę narodu,* a późniejszym pokoleniom dali świetny przykład sumiennego spełnienia obowiązku względem ojczyzny.

Powstanie spełzło na niczem, upadło, chociaż mieliśmy blisko stotysięczną armią, skarb pełen, broni poddostatkiem, chociaż waleczność żołnierza polskiego i ofiarność społeczeństwa w zdumienie wprawiała Europę. Mimo to — chociaż to może wydawać się będzie dla wielu paradoksem, — zarówno piętnastoletnie istnienie Królestwa Kongresowego jak i ta wojna narodowa wykazały, iż *umiemy być nietylko narodem, ale i państwem.* Egzamin, jakiego żądał od nas dumny Napoleon, zdaliśmy wówczas — *z odznaczeniem.*

I rzeczywiście, warto tylko wskazać na świetny rozwój Królestwa Kongresowego w latach od r. 1816 do 1830, na rozkwit handlu, przemysłu i rolnictwa, jaki nastąpił w tym czasie mimo ogromnego wyczerpania po wojnach napoleońskich, na dokonywającą się dość szybko reorganizacyą społeczną, na gorliwość w służeniu idei państwowej i dobru publicznemu, — aby kłam zadać wszystkim oszczerstwom na temat „polskiego gospodarstwa“ i rzekomej niezdolności naszej do tworzenia samodzielnego państwa. A podczas trwania powstania zarówno wojsko, jak i społeczeństwo dały przykład *karności,* na jaki inne może narody nie byłyby się zdobyły. Niech nam nikt przytem nie wskazuje na wybryki pospólstwa warszawskiego, bo chociaż pełne grozy — jakże małe jednak były one w porównaniu z tem, co się w takich chwilach i okolicznościach gdzie indziej działo!

A jeżli mimo to upadliśmy raz jeszcze, to stało się to z winy *jednostek,* a nie ogółu, z braku ludzi, zdolnych do spełnienia tak wielkiego zadania. Ludzi takich brakło nam często w stanowczej chwili. Brak to ciężki i dotkliwy — ale o zdolności narodu do rządzenia samym sobą decydować nie może. Jest to bowiem — jak uczy historya — zwykle tylko *chwilowe* niedomaganie, któremu ulegają *wszystkie* narody. Jeżli tylko *ciało narodu* zdrowe, to wyda ono także ludzi, którzy w danej chwili zdolni będą mądrze pokierować jego losami.

A może Bóg tak chciał, abyśmy ponieśli jeszcze i ówczesne straszne rozczarowanie, aby ogniowa próba niedoli naszej stałą się jeszcze sroższą, znacznie dłuższą. Może miały się zrównać w równym ucisku na czas długi wszystkie części ojczyzny i narodu, ażeby wszystkie porówno nabrały hartu, dojrzały i przeobraziły się stósownie do wymagań przyszłości. Jeżli tak jest, to chwalmyż wyroki Opatrzności! Straciliśmy wówczas dużo, straciliśmy to, za czem dzisiejsze pokolenie daremnie wzdycha, wszystko od nowa wśród najtrudniejszych warunków rozpoczynać było trzeba, — *to wiemy;* — lecz co *zyskaliśmy* przez to, to w całej pełni dopiero przyszłość nam okaże.

Rozum jednostek gorzko dziś biadać może nad skutkami wybuchu powstania listopadowego, krytyka ówczesnych wypadków może być gorzka a mimo to słuszna, lecz serce nasze, to biedne, tylu bólami skołatane serce nasze, rwie się i rwać będzie wiecznie do owych dzielnych, dziarskich wojaków, do owych czwartaków, ułanów, mazurów i krakusów, do tych, którzy legli na polu chwały lub miłość do ojczyzny przypłacili niewolą na Sybirze lub ciężką po świecie tułaczką; serce nasze niesie i dziś na ich groby świeże liście wawrzynu, a przed tron Boga korne modły za ich dusze. To serce nasze nie zapomni o nich nigdy — jak nigdy nie zwątpi w *lepszą przyszłość!*

Narodowiec.

Bolesne wspomnienie.

Dnia 19-go bm. minął rok od owego pamiętnego wyroku Izby karnej w Gnieźnie w sprawie *wrzesińskiej,* który wywołał jeden ogromny jęk boleści w całym narodzie polskim, a surowością swoją zaniepokoił cały świat cywilizowany.

Rok minął — a bolesna rana, jaką zadał sercom polskim krwawi wciąż jeszcze. Jakże bo niema krwawić, gdy większa część skazanych przebywa jeszcze za kratami więziennemi, gdy tylu biednych tęskni za najdroższymi, gdy niedola dziatwy naszej bezustannie jeszcze przypomina nam — zajścia wrzesińskie....

I nie zabliźni się ta rana, nie przestanie krwawić, dopóki nie zmieni się system pruski, dopóki biedne dzieci polskie drżeć będą z trwogi na widok szkoły . Łzy tych dzieci, ich cierpienia i niedola cała, zawsze odświeżać będą ból nasz i wołać do nas potężnym głosem: *„Września!“*

W nazwie tej skupiła się cała boleść nasza; dźwięczy ona żałośnie w każdej

skardze, ale i w każdej modlitwie naszej, zanoszonej przed tron Boga.

Dzień 19-go listopada zapisał się żałobnemi głoskami w księdze dziejów naszych. Z niej nic go już nie wyrwie. I chociażby niejedno się zmieniło, — dzień ten nie zmieni swej ponurej barwy — lecz wiecznie przypominać będzie, cośmy przecierpieli.

Nic pewnie nie pogłębiło tak przedziału dzielącego nas od Niemców, jak ten dzień i wyrok....

Zapomnieć nam go nie wolno, jak nie wolno zapomnieć Pragi, Oszmiany i tylu innych bolesnych ciosów.

Pokolenie za pokoleniem schodzić będzie do grobu, lecz jedno drugiemu będzie przekazywało tę datę. Bo mieści się w niej przykład, mieści nauka, ale także — otucha.

Niechże potomkowie nasi uczą się z niej — cierpliwości w znoszeniu niedoli, niech uczą się ofiarności dla sprawy publicznej, niech czerpią z niej przeświadczenie, że nawet najsroższa boleść nie zdoła złamać narodu, dopóki czuje się narodem, wierzy w sprawiedliwość Bożą i lepszą przyszłość.

Lecz na tem poprzestać nie można. Trzeba uczcić ten dzień pamiętny dobroczynnymi uczynkami. W tym roku minął tylko wśród smutnych rozmyślań. Na przyszłość atoli proponujemy, aby każdy prawy Polak *w dniu tym złożył chociaż drobny datek na nasze cele narodowe, na narodowe instytucye.* W ten sposób najlepiej, najgodniej go upamiętnimy i przekażemy potomności.

Vester.

Niewłaściwe pogróżki.

Z powodu dyskusyi w sprawie reformy naszych Kół poselskich w Berlinie oraz z powodu krytyki, jakiej z wielu stron doznaje działalność Kół tych oraz poszczególnych posłów — dziwne zaczynają obiegać pogłoski — mianowicie w prasie zakordonowej, pogłoski mające charakter — pogróżek. Czytamy tam w korespondencyach z Poznania, że większość posłów naszych tak jest zrażona i rozgoryczona tą krytyką, iż jeszcze przed nowemi wyborami zamierza złożyć mandaty i usunąć się zupełnie od działalności publicznej. Wśród posłów tych takie ma panować zdanie: skoro prasa nasza już nie zadowala ogółu — gdy zewsząd odzywają się głosy, żądające wprowadzenia do Kół nowych, młodszych sił, my się społeczeństwu narzucać nie będziemy: niech te młode siły pokażą, co potrafią.

Ile w tych wieściach prawdy — nie wiemy. Nie chce nam się wogóle wierzyć — iżby były rzeczywiście wyrazem usposobienia i zdania *większości* członków Kół naszych. Zdradzałoby to bowiem taką małoduszność w pojmowaniu obowiązków względem ogółu i sprawy oraz praw tego ogółu, o jaką posłów naszych posądzać nie śmiemy. Dowodziłoby zaś równocześnie, że większość posłów naszych niema należytego zrozumienia dla obecnego położenia ludności polskiej w zaborze pruskim, dla zmian i przeobrażeń, jakie dokonują się w łonie społeczeństwa naszego, albo też, że nie ma dobrej woli i ochoty zastósować się do tych zmian i przeobrażeń. A i tego po posłach naszych przypuszczać nie chcemy.

Ogół, wybierając posła, daje mu przez to dowód wielkiego zaufania, składa w jego ręce interesy swe, swoje prawa, życzenia i dążności. Nie wolno wprawdzie ogółowi krępować posła ścisłemi wskazówkami co do wykonywania włożonych na niego obowiązków, lecz wolno mu bacznie obserwować jego działalność poselską, krytykować w niej to, co uważa za sprzeczne z interesami swemi i żądać od niego zdania sprawy z tej działalności. Poseł przyjmując mandat zobowięzuje się przez to do sumiennej obrony i reprezentacyi praw, interesów oraz dążności swych wyborców; może on je reprezentować w sposób, jaki uzna za właściwy, ale zupełnie ignorować ich nie może.

Przedewszystkiem nie wolno mu wprost przeciwdziałać opinii i życzeniom wyborców. Przeciwnie! Obowiązkiem jego jest starać się o utrzymanie możliwie największej harmonii między ich opinią a swemi poglądami. Gdy więc między nim a wyborcami odezwie się jaki dysonans, winien stanąć przed nimi i w szczerej i otwartej wymianie zdań szukać porozumienia, jednomyślności. Mandat to nie zabawka, którą porzucić wolno, gdy się sprzykrzy, to rzecz bardzo poważna dla wyborców. Pomiatanie mandatem — równa się zawiedzeniu zaufania wyborców, lekceważeniu ich prawa, równocześnie zaś wyziębia ich gorliwość obywatelską. Zanim więc poseł zdecyduje się złożyć mandat (pomijamy tu naturalnie wypadki, które z góry wykluczają dalsze jego wykonywanie, jak np. nieuleczalna choroba, czyny niehonorowe etc — bo o tych na razie nie ma mowy), — winien ponownie zaapelować do opinii wyborców, postarać się o to, aby obdarzano go i nadal zaufaniem.

Ze wszystkich tych względów trudno nam uwierzyć, iżby *większość* posłów naszych nosiła się z zamiarem, jaki podsuwają jej owi korespondenci. Znaczyłoby to bowiem innemi słowy, że zamierzają powiedzieć swym wyborcom: „Kiedy już praca nasza wam się nie podoba, zabierzcie wasze mandaty i dajcie nam święty spokój.‟ Byłoby to przecież nietylko lekceważeniem wyborców, ale także lekceważeniem *sprawy* naszej. Ponieważ zaś korespondenci mają na myśli właśnie *starszą* generacyą posłów naszych, mężów osiwiałych w spełnianiu obowiązków poselskich na tem polu, oraz zkąd inąd bardzo zasłużonych, jest więc podsuwanie im zamiaru tego wręcz dla nich *ubliżającem.*

Przypuszczamy też raczej, że te pogłoski względnie pogróżki są jedynie wyrazem życzeń niektórych wśród nas jednostek, które nie godząc się na dokonywającą się w łonie społeczeństwa naszego ewolucyą, pragną jej przeszkodzić rzucaniem postrachu na szerokie koła. Jeźli tak jest, to jest to robota zarówno *brzydka, jak i w najwyższym stopniu szkodliwa.* Brzydka o tyle, że posługuje się *nieprawdą;* szkodliwa, ponieważ z góry stara się wytworzyć prawdziwą przepaść między posłami a wyborcami, uniemożliwić wyrównanie przeciwieństw, pogodzenie opinii posłów z opinią ogółu. Nuż bowiem ogół oburzy się na to, nuż się zatnie, nuż powie: „kiedy tak — to i owszem‟ — ustąpcie, wybierzemy na wasze miejsce innych! Co z tego wyniknie? Powstaną kwasy i żale, wytworzy się rozgoryczenie, które zwykle jest złym doradzcą, a sprawa nasza straci grono ludzi, którzy zastósowawszy się do zmienionych poglądów i dążeń społeczeństwa, mogliby jeszcze przez długie lata bronić skutecznie jego interesów w Berlinie.

Niechże jednostki, które dążą do tego, nie igrają z ogniem. Niechże nie sądzą, że ustępujących w ten sposób posłów ogół nie zdoła zastąpić *innymi,* że przeto zmuszony będzie ukorzyć się przed nimi, poddać ich chwilowej opinii. Historya wykazuje przecież dowodnie, że nikt na świecie nie jest *niezbędnym* dla społeczeństwa swego, że każdy brak i ubytek da się wypełnić. Spojrzmy tylko na *Czechów.* Czy sprawa czeska poniosła jakikolwiek uszczerbek przez to, że miejsce *Staroczechów* zajęli *Młodoczesi?* Bynajmniej! Szła ona dalej zwykłym trybem, kroczyła dalej zwycięzko naprzód. Na chwilę tylko doznała przykrego wstrząśnienia na *wewnątrz,* któ-

rego byłaby uniknęła, gdyby starzy przywódzcy byli się zastósowali do nowego położenia, nowych prądów. Sprawa narodowa to sprawa *żywa*, ulegająca częstym zmianom i przeobrażeniom. Błądzi więc ten, kto pragnie ją wcisnąć w stałe jakieś *skostniałe* formułki. I taki tylko naraża ją na szkodę, a nie ten, kto liczy się z postulatami i potrzebami chwili, naturalnemi zupełnie objawami i przejawami w życiu narodowem.

A właśnie teraz powstają u nas nowe prądy, nowe potrzeby. Społeczeństwo szlacheckie zamienia się na ludowe, inne przytem są warunki bytu naszego dziś, niż były przed 10 jeszcze laty. Tu hakata przeobraziła wszystko. Inną też wobec tego powinna być taktyka naszych posłów w Berlinie. Dokonująca się u nas ewolucya wewnętrzna jest przytem tego rodzaju, że prawdziwy patryota tylko ię z niej cieszyć może. Czyż to bowiem nie objaw zbawienny, że myśl narodowa, która dotychczas była tylko własnością jednej, conajwyżej dwóch warstw, dziś przenika *cały* ogół, że zrozumiały ją najszersze nawet warstwy jego? Toż to najlepszą gwarancyą lepszej przyszłości! A czyż można brać za złe tym szerokim warstwom, że zrozumiawszy myśl narodową, pragną też wywierać wpływ na bieg sprawy naszej? I to, że przytem żądają, ażeby *w obrębie interesów ogólno narodowych* uwzględniono także ich *specyalne* interesy jest rzeczą zupełnie słuszną, a nawet *pożądaną*. Interesy tych warstw nie są przecież tak sprzeczne z interesami warstw wyższych i całego ogółu, iżby nie dały się z nimi pogodzić. Przeciwnie, harmonia, i to bardzo ścisła harmonia jest tu możliwa, da się łatwo osięgnąć kosztem drobnych tylko ustępstw wzajemnych — a wówczas będzie tem trwalszą i silniejszą, niż była dotychczas.

Jeżli kto, to właśnie posłowie nasi powinni liczyć się z tą ewolucyą naturalną a pożyteczną, powinni jej nawet jako mężowie zaufania ogółu *torować ścieżki, prostować drogi*. Niechże staną przed wyborcami, niechże dopuszczą do głosu także „nowych ludzi,“ niechże uwzględnią to, co ewolucya ta wydaje *dobrego*. Niechże zerwą z *skostniałemi formułkami*, niezgodnemi z obecnem położeniem — a ogół i nadal obdarzać ich będzie zaufaniem. Niechże zdobyte w długoletniej praktyce parlamentarnej doświadczenie oddadzą na usługi *nowym prądom*, ujawniającym się w społeczeństwie naszem, niechże jako ludzie żywi odczuwają tętno życia narodowego — a ogromne jeszcze społeczeństwu swemu zdołają oddać usługi. Złożenie mandatów w takiej chwili, jedynie z powodu podrażnienia ambicyi osobistej, z powodu niezadowolenia z słusznej krytyki ogółu — byłoby czynem wręcz *nieobywatelskim, niepolitycznym, nienarodowym*. Ponad względami osobistemi górować przecież winien wzgląd na *dobro ogółu*. Tylko ten niech ustępuje z widowni, *który dobra tego odczuć nie umie*. Czyż są tacy między posłami naszymi?

Bądź jak bądź — tego rodzaju pogróżki po gazetach uważać trzeba conajmniej za — *niewłaściwe*.

Ordon.

Kobiety — dla kobiet.

Nareszcie!

Od czasu do czasu podnosiły się głosy w imie uczuć obywatelskich i humanitarnych, wskazujące na ciężką dolę pracownic igły i zastępów kobiet niezamężnych, pracujących w przemyśle. Nawoływano do stworzenia instytucyi, która zapobiegałaby wyzyskowi, unormowała ceny i stała się podporą zarobkujących niewiast. I „Praca“ zabierała słos w tej sprawie, zachęcając kobiety do organizacyi.

Ale długo głosy te były głosem wołającego na puszczy, aż dopiero kilka naście dni temu powstał w Poznaniu *związek zawodowy dla kobiet*, będący filią centralnego związku polskiego.

Do związku przystąpiło zaraz 60 pracownic, które płacą 25 fen. wstępnego 10 fen. składek tygodniowych.

Wielkie i rozliczne korzyści może przynieść związek pracującym kobietom w uciążliwei walce o byt, w której kobieta wystawianą jest na niebezpieczeństwo zarówno materyalne, fizyczne, jak i moralne. Winien on chronić je przed wyzyskiem, popierać je w stosunku z chlebodawcami, byt ich polepszyć, stać się podporą i zachętą.

Przystępujcie zatem kobiety do związku, łączcie się z siostrami w wspólnym interesie, bo w jedności siła.

Zarazem jednak baczcie, by — gdy związek nabierze siły wewnętrznej, nie zagrażał przemysłowi, nie przyniósł ujmy Wam i społeczności! Doświadczenie bowiem uczy, że związek taki tylko wtenczas, gdy jest rozumnie, oględnie i w duchu obywatelskim prowadzonym, przynosi korzyści i spełnia swe zadanie.

Gdyby związek wyszrubował ceny dla kobiet zbyt wysoko, pracodawcy poczęliby się obywać bez kobiet, familie zatrudniające dzisiaj szwaczki oddawałyby robotę do wielkich zakładów wykonywujących zamówienia bardzo tanio , w rezultacie kobiety byłyby po zbawione źródeł zarobkowania. Trzeba zważyć, że przemysł i handel wystawiony jest na wielką konkurencyę, że handel polski ma do walczenia ze żydami, którzy usiłują przyciągnąć klientelę małemi cenami a zawsze jeszcze żyją w znacznej części z Polaków.

W zasadzie związek zawodowy jest pożyteczną instytucyą, ale czy ukaże się *rzeczywistem dobrem* — zależeć będzie od kierownictwa, które wymaga bardzo dobrej ręki.

Ufamy, że osoby, które stoją na czele świeżo zawiązanego związku, zdają sobie sprawę ze wszystkiego, a nie zajmują jednostronnego, egoistycznego stanowiska. Związek powinien naszem zdaniem zamknąć się w pewnych granicach, nie przekraczających linii obranej, a nie wywierać nacisku celem podwyższenia cen, nie forsować pozycyi.

W tem oczekiwaniu przesełamy związkowi zawodowemu dla kobiet serdeczne: Szczęść Boże!

* * *

Zawiązanie centrali dla pracujących kobiet nasuwa na myśl mimowoli instytucyą filantropijną, która powołana do życia przez zgasłą niedawno wpośród nas Angielkę, Miss Williams, ma się rozszerzyć w roku przyszłym i zadość uczynić w większej mierze potrzebie. Mówimy o *domu św. Jadwigi*, przytułku dla młodych, pozbawionych opieki kobiet, zatrudnianych w przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych.

Nie od rzeczy przypomnieć ogółowi ten zakład i polecić go pamięci ludzi dobrej woli.

Kto rzucił okiem w głąb życia codziennego dziewczyny miejskiej, pracującej na utrzymanie, która spędziwszy dzień w interesie, wieczorem dostaje się do niesanitarnego mieszkania w jakim zaułku, często w złe towarzystwo i w niedostatku, pracy kilkunastogodzinnej, trawi młode siły, raz kiedyś tylko wydostając się po za mury miasta na świeże powietrze — musi odczuwać ogromną potrzebę przytułku, który poniekąd przynajmniej zastąpiłby osamotnionym pracownicom dom rodzicielski.

To też do zakładu św. Jadwigi garną się hurmem młode kobiety, gdzie za bardzo skromnem wynagrodzeniem otrzymują stancyą, opał, światło i pożywienie. A komitet widząc wzrastającą potrzebę takiego zakładu, zakupił już grunt pod budowę domu, który będzie mógł pomieścić do 80 dziewcząt. Jednakże daje się uczuwać brak funduszu na utrzymanie schroniska, które, jak wynika z natury rzeczy, wymaga nieustannej pomocy.

Przypominamy zatem w imie dobra publicznego wszystkim kobietom, którym leży na sercu dola ich młodszych siostrzyc, będących w trudnych warunkach życia, zakład św. Jadwigi, pukamy do serc chrześcijańskich i polskich! Niechaj panie nasze zapisują się na członków wspierających, chociażby skromnymi datkami przyczynią się do tego pięknego dzieła, osobiście zajmują się młodemi pracownicami, rzuconemi na bruk poznański i starają się ogrzać je ciepłem słowem, służyć radą polskim dziewczynom.

Szczytne to zadanie dla pań naszych! Kojarząc w myśli związek zawodowy dla kobiet z domem św. Jadwigi wynosimy nadzieję, że polepszy się dola polkich pracownic, bo ogół nasz dowiódł, że nie zapomina o kobietach w cieniu pracujących. Więc możemy się spodziewać, że i na przyszłość ze zdwojoną gorliwością będzie się krzątać około dobra młodych pracownic, otoczy je opieką, uchroni od raf podwodnych życia i zachowa zdrowe fizycznie i moralnie pracownice.

Jest nader pocieszającym objawem że obie wzmiankowane instytucye powołały do życia — kobiety. Okazuje się z tego namacalnie, iż mamy wpośród siebie grono wysoko uspołecznionych obywatelek, które nie zamykają się w ciasnej sferze domowej, nie ograniczają na pracy dla swych najbliższych, nie zaprzątają sobie umysłu błahostkami, lecz wytknęły sobie zadanie obywatelskie, pracują dla celów altruistycznych, ogrzane miłością sióstr i rodaczek. Wznosi się wiele hymnów pochwalnych na cześć kobiety polskiej, ale nic nie uzasadnia ich tak, jak takie dzieła dla dobra bliźnich. One to stawiają pol kiej kobiecie, w sercu ogółu „pomnik trwalszy od spiżu.“

Dzielnym naszym obywatelkom cześć! Niechaj praca ich wyda bogaty plon dla społeczeństwa! Niechaj przykład ich obudzi i zagrzeje serca innych kobiet!

Lector.

Z TYGODNIA

Przyszła kreska na wielu już pysznych i butnych Matysków, a teraz zda się przychodzi także na Matysków alias Michałków *niemieckich.* Już od całego szeregu lat ciąży na nich jakieś złowrogie fatum, które krzyżuje wszelkie ich plany, w niwecz obraca zabiegi dyplomatów i mężów stanu niemieckich, a na całem życiu narodowem i społecznem Niemców wyciska jakoby pierwsze znamiona rozstroju. Jęk boleści: „Nic się już nie udaje!“ — jaki przed kilku laty wydobył się z piersi jednego z dziennikarzy niemieckich, odzywa się coraz częściej, coraz boleśniej.

I zaprawdę — nic im już się nie udaje. W polityce zewnętrznej imponują wprawdzie ogromem swej siły, ta siła zapewnia im jeszcze pewne znaczenie w koncercie ludów, że ona tylko trzyma ich „na wodzie;“ natomiast sympatye innych narodów stracili już od dawna, u wielu zaś nawet proste zaufanie. Jeźli które państwo idzie z nimi jeszcze ręka w rękę, to jedynie z konieczności, z musu. Lecz niech tylko pośliźgnie im się noga, niech pryśnie przeświadczenie o potędze ich armii, a wszyscy odwrócą się od nich.

Gorzej jeszcze wiedzie im się w polityce wewnętrznej. Ileż to ustaw i projektów wniesionych przez rząd w ostatnim czasie, upadło, nie znalazłszy aprobaty reprezentacyi narodu, ileż słusznych żądań i dobrych pomysłów z łona tej reprezentacyi rozbiło się o opór rządu. Rozdźwięk między dwoma temi faktorami uwydatnia się coraz wyraźniej, a rozdźwięk ten to może największe zło, jakie spaść może na jakiekolwiek państwo. Obok tego powstają coraz większe przeciwieństwa między poszczególnemi warstwami i stronnictwami, które uniemożliwiają wszelką pozytywną pracę. W kraju wzrasta biedą, a w skarbie deficyty. Nawet w tej jedynej dziedzinie politycznej, w której jaka taka jeszcze panuje zgoda, w polityce *antypolskiej,* jedno fiasco ściga drugie. Nie pomagają miliony i krocie milionów, nie odnoszą skutku ustawy wyjątkowe — my żyjemy i jakoś na zgon nam się nie zanosi....

Cała ta mizerya wewnętrznego rozstroju objawia się dobitnie przy obradach nad nową taryfą cłową; odkąd istnieje nowe cesarstwo niemieckie, przeciwności nigdy jeszcze tak ostro się nie ścierały, jak w tej sprawie. Przy końcu przeszłego tygodnia już się zdawało, że rządowi powiedzie się osięgnąć w tej sprawie jakie takie chociaż porozumienie. Dla uspokojenia umysłów przerwano obrady na cały blizko tydzień, a podczas tygodnia tego urządzano schadzki, wyprawiano uczty, aby pojednać zwaśnionych. Zaledwie atoli parlament zebrał się na nowo, zaledwie znów zabrał się do pracy nad taryfą — rozdźwięk odezwał się z większą jeszcze mocą. Skrajni agraryusze postanowili zemścić się na przemysłowcach za opór przeciwko wyższym cłom zbożowym i wnieśli za jednym rozmachem aż 240 poprawek do ceł przemysłowych, żądając znacznego ich obniżenia. Co z tego wyniknie — nie wiadomo jeszcze, w każdym razie parlament znów straci dużo czasu na marne, zanim się upora z tą nową obstrukcyą przeciwko taryfie. I dziś nikt jeszcze przewidzieć nie może, czy wogóle uchwaloną zostanie...

W sobotę obradowano nad inną jeszcze sprawą, która niepokoi całe Niemcy. Od pewnego czasu policya pruska postępuje dziwnie samowolnie. Co chwila słychać o bezpodstawnych aresztowaniach, o brutalnem obchodzeniu się z zupełnie niewinnymi obywatelami i obywatelkami. Głośno rozbrzmiewały w parlamencie skargi na te nadużycia. Rząd częściowo przyznawał im racyą, częściowo brał w opiekę policyą, przyrzekał naprawę stosunków. Lecz jedno stało się już jasnem, a mianowicie, że wolność osobista nie cieszy się już w Niemczech tem poważaniem, jakie posiadać winna w konstytucyjnych państwach. W sprawie tej przemawiał z *Koła polskiego* poseł *Czarliński,* skarżąc się gorzko na złe obchodzenie się z polskimi uwięzionymi redaktorami.

Inna jeszcze sprawa wstrząsnęła do głębi całą opinią niemiecką. Najbogatszym obywatelem w Prusach był znany „król armat“ *Krupp* z Essen. Chlubili się nim Niemcy i jego zakładami jako największą swoją osobliwością. Miał on wszelkie wpływy nawet na politykę, był osobistym przyjacielem cesarza. Nie dziw więc, że niesłychaną sensacyą wywołał w Niemczech artykuł berlińskiego socyalno-demokratycznego pisma *„Vorwaerts,“* zarzucający temu potentatowi przemysłu — brzydkie występki niemoralne, jakie prawo niemieckie karze „ciuchthauzem.“ Występków tych miał się Krupp dopuszczać na włoskiej wyspie Capri, słynnej z cudownego nieba i klimatu, gdzie przebywał przez większą część roku. Artykuł ten skonfiskowała policya, zastępcy Kruppa zaprzeczyli stanowczo wszelkim zawartym w nim zarzutom, nazywając je oszczerstwem, ale wywołane nim wrażenie pozostało. Jeszcze zaś łamano sobie głowę, jak się skończy ta sprawa, gdy nagle rozeszła się wieść, że *Krupp nagle umarł* — podobno na apopleksyą serca. Śmierć jego w takiej chwili musiała wywołać nowe komentarze, nowe domysły. Przyjaciele Kruppa twierdzą, że umarł, dotknięty boleśnie tym bezpodstawnym zarzutem, — nie

braknie atoli i takich, którzy nagłą śmierć jego inaczej sobie tłomaczą. Bądź jak bądź — wypadek ten nowy cień rzucił na wewnętrzne życie społeczeństwa niemieckiego.

Po tylu *krachach, bankructwach, olbrzymich oszustwach, po brzydkich procesach lat ostatnich i to jeszcze....* Europa kręci głową dziwi się i szepce półgłosem: „Coś się psuje w państwie... niemieckiem.''

Rozpisaliśmy się tak obszernie o tych sprawach niemieckich, bo zajmują one dziś świat cały i górują ponad innemi sprawami. Po za tem też nie wiele mamy do zanotowania z ubiegłego tygodnia. W *Austryi* toczą się dalej targi o ugodę czesko niemiecką, o „uzdrowienie'' parlamentu, we *Francyi* rządzi jeszcze pan *Combes*, królowi *włoskiemu* dała małżonka zamiast spodziewanego i oczekiwanego z upragnieniem następcy tronu — *drugą* córkę. Na *Bałkanie* panuje względny spokój, a król *belgijski Leopold* cieszy się z odzyskanej wskutek zamachu popularności.

Nas mało to interesuje; my patrzymy głównie na to, co się dzieje w *Niemczech*, a porównując z tem dokonujące się powoli, lecz stale odrodzenie *naszego* społeczeństwa — coraz bardziej umacniamy się w przeświadczeniu, że *Bóg nie rychliwy — ale sprawiedliwy.*

K. O.

Przegląd prasy.

Świeżo powstała w Katowicach organizacya wyborcza i jej odezwa, znana naszym Czytelnikom, wywołała szereg uwag prasy polskiej, która wogóle przyjęła Towarzystwo wyborcze na Ślązku bardzo przychylnie, upatrując w niem radosny objaw ruchu narodowościowego i nowy krok na drodze odrodzenia Ślązka.

Niektóre głosy zanotowaliśmy w ostatnim numerze. Dorzucamy do tego kilka innych świeższej daty.

„Kur. Pozn.“ odbiera list z G. Ślązka, którego autor nawołuje do jedności i wspólności pracy. „Zdania mogą być różne, ale stronnictwo powinno być jedno.“

„A do tego, by ta jedność panowała, potrzebnem jest nietylko chętne garnięcie się społeczeństwa ślązkiego do nowej organizacyi, ale także jak *największa inicyatywa ze strony organizujących w celu umożliwienia współudziału wszystkim poważnym i zasłużonym pracownikom polskim na Ślązku.* Ci, którzy dla Ślązka dawniej pracowali i na niwie narodowej osiągnęli zdobycze nie mogą stać po za organizacyą narodową. Im nie wolno po za nią stać, a jej nie wolno być taką, by tam ci do niej należeć nie mogli. *Do tego potrzebna obustronna dobra wola starszych, którzy przywykli sami rządzić i dziś powinni uznać inicyatywę sił młodych, a z drugiej strony dobra wola młodych, którzy starszym należne winni okazywać względy.* Nad samą działalnością organizacyi nie rozwodzimy się bliżej. Działalność będzie taką, jakiem wyrobienie pracujących w organizacyi czynników. Jeżeli cała Polonia Ślązka w organizacyi reprezentowana będzie, wiemy z góry, że działalność będzie rozważna i zbawienna.“

Powyższym słowom każdy przyklaśnie. Jeżeli nowa organizacya ma mieć istotne znaczenie i wywierać wpływ na wybory, jaki ma i powinna wywierać, jest rzeczą konieczną, by o ile możności skupili się wokoło niej zarówno „starsi“ jak „młodzi.“ Dlatego wyraziliśmy ubolewanie, że inicyatorowie Towarzystwa wyborczego utworzyli je na własną rękę, nie odwołując się do „Katolika.“

Z żywą radością wita Tow. wyborcze *Gazeta Gdańska*:

„Temu dziełu się oczywiście każde polskie serce cieszy. Nikt nie umiał pogodzić owych długoletnich wiadomości, jak to się życie narodowo-polskie budzi na górnym Ślązku ze stałem wybieraniem Niemców do parlamentu.

„Jasne jak słońce, że niemieckie centrum żadnego nie ma prawa do głosów polskich. Dziwactwo dotychczasowe mogło się utrzymać tak długo jedynie z winy jednej z chorób czasu, tj. germanizacyi przez Kościół.“

„Gazeta Toruńska“ w zasadzie godzi się na wydane hasło, lecz sądzi, że bez pomocy „Katolika“ nie może być mowy o przeprowadzeniu kandydatów narodowych, i że było nieszczęściem, iż wydano to hasło po za plecami „Katolika.“ Towarzystwo reprezentuje tylko swych członków, dlatego „trzeba powołać do życia organizacyą wyborczą, wychodzącą z ogólnego wyboru na publicznych wiecach.“

„Powagę takiej organizacyi każdy, a więc także wszyscy redaktorzy uznać będą zmuszeni, jeżeli nie zechcą narazić się na potępienie przez całą polską opinię publiczną. Taka organizacya może oczywiście powstać także z inicyatywy „Katolika“ lub „Gazety Op.“, byle ogół powołano do wyboru przywódzców i byle się to stało jak najrychlej, aby ciężka a tak potrzebna praca nad uwolnieniem Górnego Ślązka z pod zmory centrowej uzyskała nareszcie stałe, rozważne i świadome celu kierownictwo, bez którego o zwycięztwie marzyć nie podobna.“

Ważniejszem atoli dla sprawy samej jest co sądzi o tem Ślązk. „Katolik“ ograniczył się na poinformowaniu czytelników o Tow. wyborczem, ale stanowiska swego nie określił. Jednakże prędzej czy później będzie do tego zmuszony.

„Gazeta Opolska“ zajęła stanowisko iście obywatelskie i zamykając oczy na to, że inicyatorowie Towarzystwa nie zaprosili ją do współudziału, *wyraża gotowość popierania Towarzystwa.*

Jednakże cofa się przed myślą rozbratu z centrum; pragnie, by Polacy śląscy pozostali na stanowisku centrowem, stawiając na posłów kandydatów z wybitnem poczuciem narodowem. Tak miały się rzeczy w okręgu opolskim w r. 1898, gdzie lud polski wbrew woli połączonych z centrum rządowców przeforsował swego posła, pana Szmulę. *„Gaz. Opolska“* pisze:

„Chcąc przyszłe wybory przeprowadzić zwycięzko, musimy się liczyć nie tyle z partyą centrową, ile z tymi życzliwymi nam księżmi, którzy przyrzekli nam współpracownictwo w Komitecie wyborczym i rzetelnie pracują nad oświatą ludu. Księża ci, równie jak pan Szmula nie godzą się na bezwzględne zwalczanie partyi jako takiej, lecz są za samodzielnem przeprowadzeniem woli ludu względem osoby kandydata.“

„Dziennik Poznański“ jedyny z prasy zapatruje się na ten objaw ruchu narodowościowego bardzo pesymistycznie, zrywanie z centrum uważa za błąd a utworzenie Towarzystwa wyborczego za „rozdwojenie.“ Sądzi, że „obie strony — t. j. „Katolik“ z „Górnoślązakiem — nie będą się absolutnie mogły zgodzić na spólnych kandydatów, bo je rozdziela ściana stronnictwa politycznego.“

Wybory do rady miejskiej wypadły dla nas *pomyślnie*, przyspożyły nam *trzech radnych*, tak iż na 60 radnych zasiadać będzie 14 Polaków. Mała to liczba, ale w danych warunkach wynik wyborów poczytała cała prasa za korzystny. *„Dziennik Pozn..“* ostrzega jednak przed tryumfowaniem i zachęca do przygotowania się do nowych wyborów, w których przeciwnicy podwoją swe zachody i z pomocą swej geometryi wyborczej utrudnią nam sprawę.

Rezultat wyborów gniewa Niemców i żydów. Obiegają pogłoski, że zamierzają wnieść protest przeciw wyborom w okręgu rynkowym i podnieść zarzut, że z powodu ciżby wielu nie było w możności oddać głosu. Są to czcze pogróżki, które ujawniają niezadowolenie pomiędzy naszymi najserdeczniejszymi. Nie ciżbie trzeba im przypisywać winę, lecz — opieszałości.

Z spraw naszych, mniej aktualnych, stosunek Koła i katolików polskich do centrum zajmuje zawsze mniej lub więcej umysły polityków centrowych i naszych. Przeciwko błędnemu i fałszywemu pojmowaniu stanowiska naszego w Rzeszy ze strony germanizatorów centrowych i ich prasy wystąpił *„Kur. Pozn.“* w znakomitym artykule. Nawiązując do rzekomo pojednawczego, lecz właśnie na fałszywych poglądach opartego artykułu kilku pism centrowych *„Kuryer“* oświadcza co następuje:

„Zastrzegamy się przeciw twierdzeniu jakoby Polacy mieli jakiekolwiek powody do wdzięczności wobec rządu pruskiego. Takich powodów nie znajdujemy w całej historyi naszego zaboru ani też w całej historyi Ślązka.

„Rząd pruski zawsze, od początku i bez przerwy występował przeciwko żywiołowi polskiemu. W dalszym ciągu oświadczenia pism centrowych jest mowa o *patryotyzmie pruskim* Polaków. Na to odpowiadamy — Polak, o ile jest narodowo uświadomiony, zna i znać może *tylko jeden patryotyzm a mianowicie polski, jedną miłość Ojczyzny, miłość Polski.* To jest jego obowiązkiem, i tylko takiego Polaka uczciwy Niemiec cenić i szanować powinien. Polacy spełniają swe obowiązki w obec państwa. Płacą podatki, służą we wojsku, spełniają wszystko — czego od nich prawo i ustawa państwowa wymaga.

„Więcej żądać nikt od nich nie ma prawa. Polacy nie czynią i nie chcą czynić rewolucyi, uznają fakt, że wolą Opatrzności dostali się pod przemoc obcego narodu, *ale nie uważają idei niemieckiej jako swej.* Słuchają prawa, bo muszą, bo wiedzą, że niesłuchanie go sprowadziłoby na nich jeszcze większe nieszczęścia, *ale zatrzymują swoje uczucie odrębności, stwierdzają, że nie żyją w stanie normalnym, że żyją pod panowaniem obcem, społeczeństwa sobie na wkroś i pod kadym względem obcego.*

„Więc niech gazety centrowe mówią o naszej legalności wobec prawa pruskiego, bronionego bagnetami wojsk pruskich i kratami więzień pruskich, ale *niech nie mówią o naszym patryotyżmie pruskim,* bo go nie mamy i mieć nie możemy. Nakoniec uwaga co do wszechpolskości, o której piszą gazety centrowe. Wszechpolskości, jako hasła walki rewolucyjnej na trzy fronty, o ileby takie hasło się ujawniało, nie uprawiamy i uważamy ją za szkodliwą, ale wszechpolskość, jako uczucie wspólności narodowej wszystkich Polaków jest uczuciem *świętem i obowiązkiem każdego, kogo polska zrodziła matka.*

„Lecz że polskość z katolicyzmem nierozłącznie jest związana, przeto centrum może być pewnem, że gdy tego sprawa katolicka wymagać będzie, Polacy zawsze z gotowością i zapałem pójdę z niem ręka w rękę w dobrej i złej doli.“

Pomiędzy *socyalistami* polskimi a niemieckimi przyszło znowu do zgody, czyli innemi słowy polscy socyaliści przełknęli obelgi, któremi ich częstowano na wiecu w Monachium i poszli znowu na usługi niemieckich „towarzyszy,“ chociaż to nie mniejsi germanizatorowie od innych Niemców. Polscy socyaliści odstąpili od zamiaru samodzielnego mianowania swych kandydatów przy wyborach na Ślązku, natomiast Niemcy zrobili to dla polskich towarzyszy, że uznali organ ich w Katowicach za organ partyjny! Co za łaska! Za to przy wyborach będą narzucać kandydatów Niemców!

O tej „ugodzie“ pisze *„Dzien. Śl.“*:

„Układy i konferencye mają być tak pokierowane, żeby wilk tj. niemieccy socyaliści był syty, a koza, tj. polscy socyaliści, całą. Nam się jednak zdaje, że skończy się na tem, że wilk może być syty, ale koza całą nie będzie.

„Jeżeli socyalistom polskim po tych wszystkich doświadczeniach, jakie zrobili z swymi „towarzyszami“ niemieckimi, jeszcze się oczy nie otworzyły, jeżeli pomimo to wszystko jeszcze lgną do nich, żeby im służyć i znosić ich komendę toć na nich nie ma rady“.

Od czasu do czasu polscy socyaliści robią zakusy, by wyzwolić się z pod opieki Niemców, lecz wnet znowu idą na ich usługi. Byli bowiem i są tylko uczniami Niemców; raz odpadłszy od pnia czysto narodowego stali się łupem Niemców.

„Tem więcej — pisze powyższy dziennik — stać musi na straży nasz polski ruch narodowy, żeby bronić i wiary i narodowości. Niemieccy socyaliści dążą również do germanizacyi i choć to czynią w nieco innych formach, jak system pruski i hakatyści, to germanizacya jest zawsze germanizacyą, i należy mieć na nią baczne oko, czy ona wypływa od hakatystów i systemu pruskiego, czy od niemieckich socyalistów, bo jedna i druga godzi w narodowe sprawy żywiołu polskiego“.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Z Westfalii.

Bottrop, d. 9 listopada.

Kochana „Praco!“

W miejscowości tej zagnieździło się z górą ośm tysięcy Polaków, którzy stanowią trzecią część ogólnej liczby mieszkańców. Przeważnie tutejsi Polacy pochodzą z Górnego Ślązka i to z powiatów rybnickiego i raciborskiego. Mamy tu dwa kościoły katolickie i siedmiu księży — niestety — Niemców.

O księdza Polaka upominamy się od dawna i rzeczywiście jest on ogromnie potrzebny, lecz ks. proboszcz mówił nam, że znikąd księdza Polaka nie może dostać. Dopiero niedawno zapowiedział z ambony, że wkrótce przybędzie kapłan mówiący po polsku. Mamy więc nadzieję, że przyrzeczenia dotrzyma i będziemy mieli polskie kazania.

Co się tyczy naszego proboszcza, nie możemy zapomnieć, jak to on z ambony występował przeciwko Polakom i pismom polskim, które nazywał „Hetzblätter“ z tego powodu, że rzekomo mają nas podszczuwać. Proboszcz gromił nas za to, że — jak mówił — chcemy Mszy świętej w języku polskim odprawianej i tłomaczył nam, że Msza odprawia się tylko po łacinie, jak byśmy sami tego nie wiedzieli. Pewnie Landsmanny ks. proboszcza nie wiedzą o tem, więc myślał on, że i my nie wiemy. Nam jednak tego tłomaczyć nie potrzeba, chociaż nie posiadamy wykształcenia.

Kościół jest na to, by wszyscy wierni mogli z niego czerpać ducha, a nie wyłącznie Niemcy. Mamy więc słuszną racyą, domagając się polskich kazań i polskiego śpiewu. Porówno z Niemcami płacimy podatki, tem więcej tedy chcemy równouprawnienia. Niemcy mają co tydzień swe kazanie aż w dwóch kościołach, a my od 4-ch miesięcy nie słyszeliśmy słowa polskiego z ambony. Ale są tu ludzie w pośród nas, którzy godzą się z tym stanem. Ugodowcy ci zapominają, że tu chodzi już nietylko o polskie kazanie, ale o to, by dzieci nasze pobierały naukę przygotowawczą do św. Sakramentów w ojczystej mowie. Czegóż one mają się nauczyć po niemiecku? Wielki czas, aby polski duszpasterz zajął się nauką dziatwy!

Towarzystw polsko-katolickich mamy tutaj trzy. Z tych jedno tylko ma przystęp do kościoła, ponieważ przyjęło ustawy, jakie ks. proboszcz mu narzucił. Dwa inne mają wprawdzie poświęcone chorągwie, ale nie uzyskały wstępu do kościoła.

Prócz tego jest jeszcze t. z. Kriegerverein, z samych Polaków złożony. Mimo to — przykro wyznać — mówią w nim tylko wtedy po polsku, gdy się nie mogą porozumieć po niemiecku. Czy to nie wstyd? Na cóż Polakom łączyć się w jakieś Kriegervereiny i naśladować Niemców? Lepiej aby członkowie polscy Kriegervereinu nie udawali Niemców, nie łamali sobie języka niemczyzną i nie narażali się na śmiech, lecz wstąpili do polsko-katolickich związków i trzymali się swoich.

Nie brak tu polskich rzemieślników i przemysłowców, którzy żyją tylko z Polaków. Niemcy bowiem nie wspierają ich wcale, chociaż niektórzy pożenili się z Niemeczkami, bo im wydaje się, że Niemka więcej „fein.“ Tacy to znajdują się jeszcze ciemni ludzie. Chociaż Niemcy bojkotują przemysł nasz, nasze akuszerki — których tu jest ośm — poprzybijały sobie tabliczki z niemieckiemi napisami. Nazywają się Frau i Hebamme, a nazwiska swe wykoszlawiły, tak że można — by myśleć, iż to Niemki.

A pożal się Boże jaką mówią polszczyzną! Co drugie słowo wtrącają wyraz niemiecki. Gdy zaś kto zwróci im na to uwagę, tłomaczą, że będąc pomiędzy Niemcami trzeba się do nich zastósować! A czy to Niemcy w Księstwie Poznańskiem zastosowują się do Polaków? Skoro tak te akuszerki myślą, niechaj się nie dziwią, że Polacy ich pomocy nie żądają.

Wogóle źle się nam przysługują te akuszerki. Przy chrzcie uczą kumów odpowiadać po niemiecku za chrześniaka, a mało który rozumie, co odpowiada. Akuszerki zaś myślą, że dość, by kum bąknął coś nie coś po nie-

miecku. I tak gdy ksiądz zapyta: versagst du den Teufel, kum zwykle odpowiada jakie głupstwo. Niechaj sobie nasze akuszerki dobrze rozważą co tu napisaliśmy i zaprzestaną pomagać germanizatorom. Niech kum każdy po polsku odpowiada za polskie dziecko i nie wystawia się na pośmiewisko. Mam w Bogu nadzieję, że skoro zawita polski kapłan rzeczy się zmienią na lepsze i duch polski wstąpi w tych, którzy słaniają się ku niemczyźnie i oburzają na siebie dobrze myślących Polaków. Oby Bóg nam zesłał dobrego kapłana w ziemi polskiej!

Ezechiel.

* * *

***Horst**, 5 listopada.*

Wyczytawszy w bochumskim „Wiarusie Polskim,“ że *Towarzystwo św. Piotra w Horst* będzie obchodzić dnia 19-go października ośmnastoletnią rocznicę swego istnienia, postanowiłem podążyć na nią i pogawędzić ze swoimi. Idąc ulicą, zdala już ujrzałem przystrojoną zielono bramę z tablicą wiszącą w pośrodku. Uradowałem się na ten widok, bo myślałem, że to tablica z polskim napisem. A Niemcy tak język nasz prześladują, że człek z radością powitałby tablicę z polskim napisem. Ale co za zawód mnie spotkal, gdy zbliżywszy się. odczytałem Herzliches Willkommen, a na odwrotnej stronie: „Grüss Gott i t. d.“ Serce mi się z żalu ścisnęło! Czy, rodacy, polskie towarzystwo nie może się zdobyć na polską tablicę? Jeżeli go na to nie stać, niechby niemiecką tablicę schowało w kąt, zamiast wywieszać ją jak jaki niemiecki związek. Co za obojętność ze strony zarządu! Ale nie na tem koniec.

Na budynku spostrzegłem czarno-biało-czerwoną chorągiew, a na niej jakieś czarne malowidło. . . . .

Nie dziwiłbym się członkom Towarzystwa, bo są to widocznie ludzie nie uświadomieni, ale w zarządzie Towarzystwa zasiadają panowie, którzy uchodzą za gorliwych apostołów słowa narodowego. I oni tak urząd swój sprawują?!

Na nabożeństwie rannem nie mogłem być wskutek przeszkody, nie słyszałem więc polskiego kazania. Ale ksiądz, który je wygłosił, na sali przemówił po niemiecku. Na to ja i kilku innych opuciliśmy salę, bo nie na to przyszliśmy na obchód, by słuchać niemieckich mów. Na sali zapanowała grobowa cisza, a gdy potem któryś z Polaków zachęcał do wytrwania we wierze i narodowości poczęto szemrać i prezes odebrał mu głos, uważając to przemówienie za polityczne.

Nadmienię jeszcze, że w pośród uczestników jeden drugiego przezywał imieniem: Johann, Albert, Anton i t. d. Tak przesiąkli ci ludzie niemczyzną.

I to ma być Towarzystwo polskie? Właściwie powinno ono nazywać się towarzystwem katolickiem Prusaków polskiego pochodzenia, a nie mienić się polsko-katolickiem, gdyż sprzeniewierza się polskości. Prezes i ksiądz podali sobie ręce, aby w polskie towarzystwo zaprowadzić niemczyznę.

Poprawmy się! Odzywam się mianowicie do młodzieży, w której rękach spoczywa przyszłość narodowa, aby wpłynęła na zmianę stanu rzeczy w towarzystwie, aby wogóle starała tchnąć innego ducha w członków i dążyła do uświadomienia narodowego rodaków. Jedna myśl, jeden duch powinien ogrzewać wszystkich. A gdy tak będzie, oprzemy się naporowi niemczyzny, nie dopuścimy, by zakradała się w nasze towarzystwa i domy i wtedy Bóg zlituje się nad narodem, który od z górą stu lat wystawiany jest na burze i gromy, a nie zwątpił w lepszą przyszłość.

Gdy wybiorę się do Horst na podobną uroczystość Towarzystwa św. Piotra, mam nadzieję, że wyniosę lepsze o niem wyobrażenie.

Polak z Westfalii.

* * *

***Derne**, d. 9 listopada.*

Sprawa panoszącego się u nas w W. Ks. Poznańskiem żydostwa, to sprawa bardzo piekąca i drażliwa. Nieda się zaprzeczyć, że łamią sobie wciąż nad tem głowy nietylko nasi kupcy i przemysłowcy, ale także nasi redaktorzy, nasza prasa, wogóle całe nasze dobrze myślące i niebezpieczeństwo pojmujące społeczeństwo.

Słusznie się skarżą nasi kupcy, że lud ich mało popiera, że lgnie do żydów, jak muchy do miodu, jak się wyraził „Dzien. Kuj.“, lecz rozważmy po czyjej stronie większa wina.

Lud polski, gospodarze i robotnicy, mało posiadają jeszcze oświaty, tak że nie mają żadnego pojęcia o wyzyskującem nas żydostwie, a po drugie stare przyzwyczajenie się do żydów, które się nie da tak wnet wykorzenić, po trzecie żydostwo swem piskliwem schlebianiem i falszywem uniżganiem się do ludu, zjednywa sobie powagę w ludzie z każdym dniem. Bo czyż dziś setny, tysiączny gospodarz lub robotnik polski wie o zachowaniu się takiego pana Jaffego w Poznaniu, albo o zachowaniu się tych dwóch żydowskich Patelsonów w parlamencie przy ustawie antypolskiej, albo o takiem brutalnem fabrykowaniu trucizny przez galicyjskich żydków? Nie, o tem nie wie, jak wyżej powiedziałem, setny, tysiączny. Lud polski widzi tylko rzetelnych żydków w swojem mieście i od nich kupuje. I o to właśnie powinno się starać nasze społeczeństwo, a przedewszystkiem kupcy nasi, aby te fałsze i sztuczki żydowskie wyzyskiwać na własną korzyść i to dziać się powinno pismem, słowem i czynem. Kupcom detalicznym w małych miastach prowincyonalnych prócz anonsów w gazetach polskich wieleby pomogły reklamy lub cyrkularze.

Kupcy więc powinni kazać sobie wydrukować kilka tysięcy reklam czyli cyrkularzy i porozsyłać je do wsi pomiędzy gospodarzy i robotników. Mając w domu taki papierek, z ciekawości weźmie go ojciec lub matka do ręki i powiedzą sobie: „Matka, jak będziemy w mieście, to pójdziemy zobaczyć, co on też tam ma za towary.“ Mając kupiec takich ludzi w składzie nie powinien żałować trudu, przecież to jego chleb powszedni, powinien się zastósować do wszelkich ich życzeń, towar powinien być dobry i podlejszy we wielkim wyborze i w różnych kolorach, bo lud nasz najbardziej lubi jaskrawą, wyraźną barwę, w którą to żydki bardzo chętnie się zaopatrują, a przytem kupiec powinien przypominać ludowi jego obowiązki, wykazywać w zrozumiałych słowach żydowskie krętactwa i żydowską nienawiść ku nam; a gdy to lud polski zrozumie, to na żydów nie wejrzy. Naturalnie, że w każdem mieście powinny być składy w polskich rękach z każdej branży.

Józef Cichowlas,
gorliwy Czytelnik „Pracy.“

Zarząd

Polskiego Towarzystwa wyborczego

na Śląsk

z siedzibą w Katowicach prosi nas o zamieszczenie uwiadomienia następującego:

1. Kto chce zostać członkiem Polskiego Towarzystwa wyborczego na Śląsk, niechaj zgłosi się ustnie lub listownie do sekretarza p. adwokata dra *Adamczewskiego* w Katowicach, Rynek nr. 9 I (Kattowitz, Ring 9 I).

2. Wstępne, wynoszące 50 fen. i składki miesięczne w wysokości 25 fen. przyjmuje kasyer p. *Adolf Ligoń* w Katowicach, ul. Stawowa 16 II (Kattowitz, Teichstr. 16 II)

Za Zarząd Polskiego Towarzystwa wyborczego na Śląsk
Dr. Adamczewski, adwokat.
Katowice, dnia 14 listopada 1902 r.

Dział illustrowany.





Wspomnienie historyczne

W NOC LISTOPADOWĄ.

(29. XI. 1830 ROKU.)

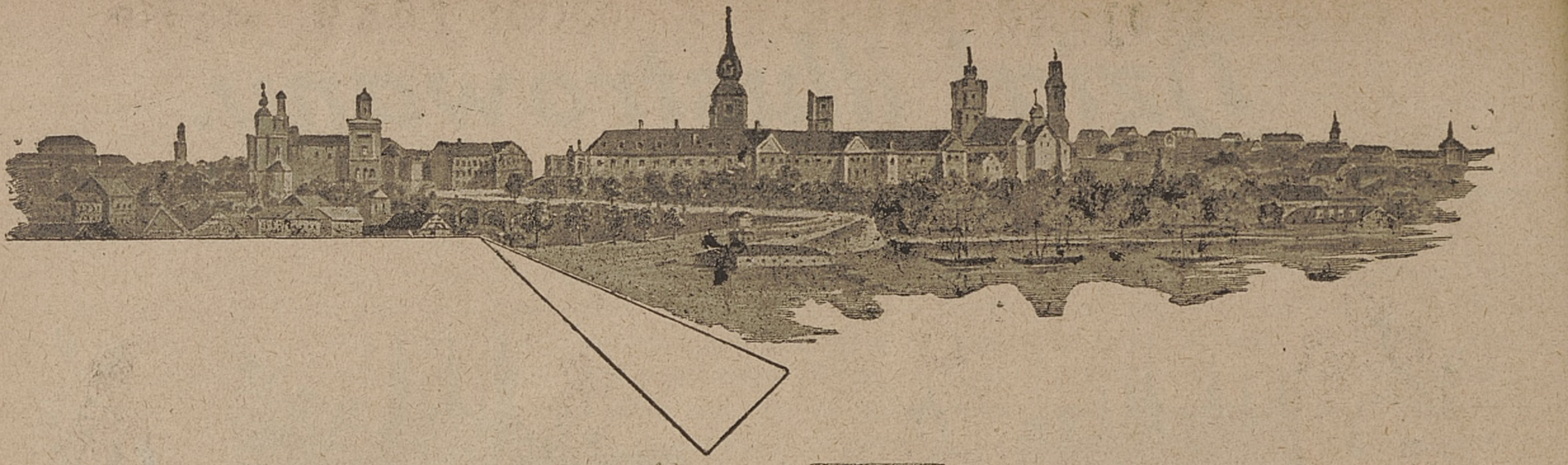
Mijają lata od pamiętnej chwili,
Gdyśmy Ojczyznę i wolność stracili...
Mijają w smutku, bólu i żałobie,
Mijają straszne — bośmy żywi w grobie.
Żywi? Tak, żywi! Wszak niedawne czasy,
Gdyśmy z wrogami szli w bojów zapasy
I grób szarpali własnemi rękami —
Byliśmy słabi, ale Bóg był z nami.

W pomroce dziejów błysnął nam dzień jasny,
Gdy z Moskwą walczył Polski żołnierz własny,
Sztandary nasze Orła i Pogoni
Wzywały wszystkich do dzieła! do broni!
I naród ożył! i wielkim protestem
Rzekł wobec Boga światu: oto jestem!
Ryknęły spiże: „Jeszcze nie zginęła
Ojczyzna nasza!“ — choć ją przemoc wzięła.

Bóg patrzył na nas! wróg zwyciężył ciało,
Lecz duch spotężniał, a co się nie stało
W chwilach orężnej i krwawej ofiary,
To duch odkupi mocą swojej wiary,
Bo wiara była, jest i będzie z nami,
Wiara broń nasza, bośmy Polakami!
Wiara na straży czynów naszych stoi,
Kto w Boga wierzy, wroga się nie boi!...

To spadek Polski, jedyna spuścizna,
Jaką nam dała cierpiąca Ojczyzna:
Boje i znoje, Wawr i Ostrołęka
I dalsza straszna narodowa męka...
Błogosławieni ci, co w dniach pogromu
Krzepią nam serca stojąc u wyłomu,
Błogosławieni bohaterscy, śmiali,
Bo lepsze wróżą ci, co złe przetrwali.

D.



Noc 29 listopada 1830 roku.

(Do illustracyi.)

Zapadło postanowienie ostateczne, że wybuch zbrojny nastąpi 29 listopada o godzinie 7-ej wieczorem. Nie można było dłużej zwlekać; policya W. księcia Konstantego zwietrzyła, że się coś szykuje niezwykłego; zaczęły się aresztowania, wzięto Urbańskiego, jednego z naczelników tajnego „Związku patryotycznego," Polskę całą ogarniającego, a przecież rewolucya i tak miała wybuchnąć, bo naród, oddawna szykujący się do zbrojnej walki, nie mógł patrzeć spokojnie, aż car Mikołaj rozkaże w dniu 1-go lutego 1831 r., jak to postanowił, wojsku polskiemu pójść na Zachód „robić porządek w Europie."

Dzień 29 listopada wybrano dlatego, że służbę garnizonową w Warszawie pełniły w dniu tym pułki polskie. Zdecydowawszy rewolucyę, związkowi przeznaczyli na członków przyszłego rządu narodowego hr. Ostrowskiego, W. Niemojowskiego, Joachima Lelewela i W. Zwierkowskiego; prezesem rządu narodowego miał zostać książę Adam Czartoryski, zaś naczelnikiem sił zbrojnych jenerał Chłopicki.

Wojska rosyjskiego było w Warszawie 6,500 ludzi i 28 dział; te ostatnie stały za miastem. Załoga polska wynosiła 8 tysięcy ludzi; między oficerami około 200 należało do „Związku." W. książę Konstanty mieszkał w parku Łazienkowskim, w pałacyku zwanym „Belweder"; pod bokiem stały koszary trzech pułków jazdy rosyjskiej.

Szkoła podchorążych, która miała rozpocząć wybuch, mieściła się na Ujazdowie, przy wejściu do parku Łazienkowskiego.

Wybuch uplanowano w taki sposób, że podporucznik Wysocki, stojący na czele spiskowych w szkole podchorążych — kształcili się w niej przyszli oficerowie — miał z uczniami uderzyć na Belweder i koszary jazdy, zaś wojsko, poruszone przez oficerów, winno zająć arsenał i rozbroić załogę rosyjską.

Nadszedł pamiętny w dziejach Polski poniedziałek. Związkowi Urbański i Dąbrowski wprowadzili do miasta ostre ładunki. O godzinie 6-ej wieczorem zabłysła łuna pożaru, z podpalonego na Solcu browaru. Na ten znak Wysocki wszedł do wyższej klasy w szkole podchorążych, gdzie się odbywała lekcya i kazał młodzieży stanąć pod bronią.



Jenerał Jan Skrzynecki,
wódz naczelny wojska polskiego w roku 1831.

Sześciu podchorążych udało się natychmiast pod posąg Sobieskiego w Łazienkach, gdzie już czekali na nich akademicy warszawscy w liczbie dwunastu.

Młodzież, podzielona na oddziały, po 9 ludzi każdy, ruszyła na Belweder, jeden oddział, górą parku, prowadził Trzaskowski, drugi dołem Kobylański. Z okrzykiem: „śmierć tyranowi!" sprzysiężeni wpadli do pałacu, szukając W. ks. Konstantego. Za wskazówką kamerdynera, książę korytarzami uciekł do pokojów żony i tam, nawpół ubrany, blady ze strachu brat cara, władca Polski moskiewskiej siedział, schowany między niewiastami służebnemi kilkanaście minut, dopóki młodzież nie zabrała się do odwrotu. Nie znalazłszy księcia zastrzelono po drodze jednego z faworytów satrapy i zraniono bagnetem nędzną figurę, wiceprezydenta Warszawy, Lubowidzkiego.

Tymczasem Wysocki uderzył na koszary jazdy rosyjskiej, lecz nie mając zapowiedzianej pomocy, nie chciał wszczynać o własnych siłach walki z trzema naraz pułkami i cofnął się ze szkołą pod posąg Sobieskiego. Pomoc zaś przybyć rzeczywiście nie mogła, gdyż źle podłożony ogień na Solcu zgasł niemal odrazu i w mieście Związkowi, nie widząc umówionego hasła, sądzili, że wybuch został odłożony i nie poruszali polskiego żołnierza z koszar.

Tak więc podchorążowie zostali sami; cofać się już było zapóźno, gdyż zaalarmowana jazda wsiadła na koń i pospieszyła na rozkazy W. księcia. Konstantego tylko z wielkim trudem udało się ubrać, wyprowadzić i wsadzić na koń; biedak ciągle drżał ze strachu i na żaden sposób nie mógł utrafić nogą w strzemię.

Podchorążowie tymczasem ułożyli nowy plan walki: przebić się przez jazdę i iść do miasta, aby poruszyć lud i wojsko. Nastąpiła jedna z najpiękniejszych chwil w wojnie r. 1830. Ten bohaterski marsz 160 podchorążych Alejami Ujazdowskiemi i Nowym Swiatem, z trzema pułkami jazdy nieprzyjacielskiej na tyłach, można zaliczyć do cudów waleczności i sztuki wojennej. Stare drzewa, rosnące po obu stronach alei, którą szła waleczna szkoła, stanowiły doskonałe przykrycie dla młodziutkich bohaterów. Ilekroć jazda moskiewska zaczynała napierać, część uczniów, rozsypując się w tyralierkę po za drzewami, wstrzymywała ją celnym

Wojsko polskie z 1830|31 roku.



Żołnierz
pułku strzelców pieszych.



Chorąży
pułku piechoty liniowej.



Oficer
pułku ułanów.



Oficer
pułku artyleryi lekkokonnej.

ogniem i zmuszała do odwrotu. Odgłos strzałów zbudził nareszcie Warszawę. Różni wyżsi wojskowi zaczęli wysypywać się z mieszkań i klubów, dażąc w stronę gdzie wrzała walka. Podchorążowie zatrzymywali spotykanych po drodze jenerałów i wzywali ich do objęcia nad nimi dowództwa. Kto odmawiał, ginął z rąk oburzonej młodzieży; tak zginęli między innymi Siemiątkowski, Blumer, służalec moskiewski Hauke, minister wojny St. Potocki *)

Z[illegible] d szł do K[illegible] [illegible] ruszyli się oficerowie Związkowi i przeciągnęli część polskiego wojska na stronę powstania. Zajęto arsenał na ulicy Bielańskiej; pospędzano placówki w różnych miejscach, tu i ówdzie doszło nawet do utarczek z wojskami rosyjskiemi, które stanęły już pod bronią, lecz nie utrzymując znikąd rozkazów, zaułkami podążały ku W. księciu. Szło do księcia i wojsko polskie, mianowicie te oddziały, których dowódcy nie byli wtajemniczeni. W takim stanie rzeczy położenie wojska rewolucyjnego chwilowo było bardzo krytycznem. Wodza brakło, bo Chłopicki, którego z góry wyznaczono na wodza wojsk polskich, gdzieś się zaprzepaścił. Stary wojak, wiedząc, że na niego zwrócą się oczy narodu, ukrył się w nadziei, że i bez niego rewolucyoniści się obejdą. Jako żołnierz i dobry Polak Chłopicki od służby Ojczyźnie się nie usuwał, lecz nie mając wiary w powodzenie sprawy, nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności naczelnika powstania.

Ale losy dnia 29 listopada wziął natomiast w swoje ręce lud warszawski, ci rzemieślnicy, drobni kupcy, których ojcowie już przeszli chrzest służby narodowej za Kościuszki. Zbudzony przez kilku Związkowych i powołany do broni ten lud bohaterski nie bawił się w skrupuły i obliczenia, które tak mocno [illegible]. Lud warszawski [illegible] w jednej chwili Kilińskiego i wielotysięczną masą zalał ulice Warszawy. Rzeką płynęły tłumy ze Starego Miasta, z Powiśla na Bielańską, gdzie przed arsenałem rozdawano broń; w ciągu godziny 40 tysięcy karabinów było już w ręku powstańców. Lud zbrojny podzielono na oddziały i obsadzono nimi główne punkty miasta; naczelne dowództwo nad tą gwardyą narodową objął Ksawery Bronikowski.

Zaczęła się strzelanina na ulicach; łowiono i zabijano kuryerów, przewożących rozkazy od księcia Konstantego do wojska, aby w ten sposób przeciąć całkowicie jego łączność z armią.

Miasto opanowano wkrótce, w ciągu paru godzin od chwili wybuchu przechylono szanse powstania na stronę polską.

Jeżeli o godzinie 9 ej Konstanty mógł stłumić powstanie w zarodku przez śmiałe uderzenie na miasto, to o północy trudno już było myśleć o czemś podobnem. Nie odznaczający się wogóle zbyt wielką odwagą Konstanty, pomimo nalegań moskiewskich jenerałów, nie ośmielił się teraz na krok zaczepny, pomny, co w podobnych okolicznościach zdziałał lud warszawski r. 1794 pod wodzą szewca Kilińskiego. Zamiast Moskali W. książę posłał do miasta polski pułk strzelców, licząc na to, że może ludzie powstaniu przeciwni zdołają w ciągu nocy lud uspokoić i „Polacy rozprawią się między sobą".

Ta, ze strachu wynikająca ostrożność Konstantego, jak się z dalszego biegu [illegible] okazało, wyszła Moskalowi [illegible] dobre. Po północy Warszawa przedstawiała dwa wrogie obozy: od strony Krakowskiego przedmieścia stała szkoła podchorążych, lud miejski uzbrojony i pewna część załogi; od strony Nowego Swiata W. książę trzymał w pogotowiu cały korpus rosyjski i wiekszą część załogi polskiej, którą wciąż powiększały oddziały przybywające z okolic. Noc przeszła w oczekiwaniu i drobnych utarczkach przedniej straży.

O 6-ej rano 30 listopada Konstanty, nie mając odwagi uderzyć na Warszawę, cofnął się za rogatki Mokotowskie i stanął we wsi Mokotowie obozem.

Warszawa była wolną.

* * *

Przypatrzcie się albumowej illustracyi Przy ołtarzu stoi sam jeden jenerał polski, na którego nacierają Moskale. To dzielny Sowiński w kościołku na Woli pod Warszawą. Bronił dzielnie powierzonego mu szańca, choć szczupłe miał siły, a gdy nieprzyjaciel opanował okopy, schronił się do kościoła.

*) Wystawił im później car Mikołaj pomnik na Saskim placu z napisem: „Polakom poległym za wierność swemu monarsze"; pomnik ten wyrzucili teraz Moskale na plac Zielony.

Polacy razili z okien wrogów, a gdy drzwi zostały wyważone, zaczęła się mordercza walka w kościele. Sowiński, choć o szczudle, bo nogę stracił w boju pod Możajskiem, stawił śmiały opór. Moskiewski oficer woła nań, aby się poddał, na to rzecze mężny wojownik: „Polak poddaje się tylko Bogu," a potem strzela do Moskali i broni się bagnetem. Padło kilku Moskali, zanim zabili Sowińskiego. Jeszcze po śmierci twarz jego okazywała bohaterską odwagę. Dopiero po zgonie nieustraszonego jenerała została Wola d. 6. Września 1831 r. zdobytą, a wtedy niedługo Krukowiecki i Prądzyński oddali Warszawę Paszkiewiczowi.

Gdyby byli wszyscy Polacy podobne męztwo okazali, Warszawa nie byłaby zdobytą. Nawet za granicą słynie po dziś dzień Sowiński, a mało kto wspomina imię Skrzyneckiego lub Chłopickiego i innych, którzy bić się nie chcieli, a jeżeli ich kto wspomina, to z uczuciem wstrętu.

Konstanty Gaszyński uczcił pamięć Sowińskiego pięknym wierszem, zaczynającym się od słów: „Gdy trzechset dział gromy grzmiące." Młodzieży polska, naucz się tego wiersza, który zamieszczamy, na pamięć i często go powtarzaj!

* * *



Szymon Konarski,
kapitan wojska polskiego z roku 1830|31.

W dziejach męczeństwa polskiego jaśnieje dziwnym urokiem postać Szymona Konarskiego. Był on rodem z Litwy, (ur. 1808 r.) walczył w powstaniu 1831 r., w którym dosłużył się stopnia kapitana. Po upadku powstania udał się do Francyi. Brał czynny udział w stowarzyszeniu „Młoda Polska" i wydawał przez pewien czas pismo „Północ." W Szwajcaryi wyuczył się zegarmistrzowstwa. Nie należał wprawdzie do Towarzystwa Dekromatycznego, ale przejął się jego zasadami. Bawiąc w Krakowie, przystąpił do „Stowarzyszenia Ludu Polskiego", które powstało głównie za staraniem Seweryna Goszczyńskiego, poety. Udał się następnie na Litwę i Ruś, gdzie rozwijał wielką czynność. Agaton Giller pisze o nim: „Konarski posiadał moc właściwą wyższym duszom zjednywania zwolenników dla myśli, której się poświęcił. Nikt nie mógł oprzeć się loice jego argumentowania i prądowi ognistej wymowy. Zasady, które szerzył, zdawały się być niewzruszonemi prawdami, skoro człowiek, który je głosił, gotów był za nie w każdej chwili głowę położyć. Ojczyznę kochał nade wszystko, więcej niż duszę swoją. O jej dobru i wolności wciąż myślał. Braterskie, ludowe zasady, wysileniem jego duszy szczepione, szybko się też przyjmowały." Rosyanin N. W. Berg w dziele: „Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831—1862" zowie Konarskiego „człowiekiem znakomitego rozumu i twardego charakteru." Policya francuzka doniosła do Petersburga o jego wyjeździe na Litwę, zaczęły się więc poszukiwania, aż w końcu aresztowano Konarskiego w Wilnie i osadzono w więzieniu. Straszne były jego męczarnie. Brano go na tortury, podobno nawet wbijano mu drzazgi za paznogcie i zapalano, a jednak nic nie wydał, dlatego kniaź Trubeckoj, przewodniczący komisyi śledczej, nazwał go żelaznym człowiekiem. D. 27 Lutego 1839 r. został Konarski rozstrzelony w Wilnie za Trocką bramą. Gdy mu pokazano wyrok śmierci, podpisany przez cara, wyrzekł: „Bladym atramentem car podpisał, ale jego wyrok krwią będzie pisany." Z okowów męczennika za sprawę narodową wykonano pierścienie, które powszechnie Polki nosiły. Równocześnie z Konarskim aresztowano licznych patryotów. Zaczęły się straszne śledztwa; morzono więźniów głodem, brano na tortury, batożono, przepędzano przez rózgi, wysyłano na Sybir, za szczęśliwych ci się mogli uważać, którzy śmiercią byli karani.

Pobudki emisaryuszów (tak zwano wysłańców emigracyi do kraju) były szlachetne, niestety! ich usiłowania sprowadzały na naród łez i krwi potoki. Miłość Ojczyzny była jednakże tak wielką, że nie cofano się przed największemi ofiarami, składano chętnie życie i majątki dla dobra narodu, choć nie było nadziei pomyślnego skutku usiłowań.

* * *

Maksymilian Kosiński urodził się w roku 1812. Jako młodzieniec 18 letni, uczeń gimnazyum leszczyńskiego, bawiąc przypadkowo z ojcem, kapitanem armii napoleońskiej w Warszawie 29-go listopada 1830 pośredni miał udział w zajęciu Belwederu. Następnie zaciągnął się do pułku strzelców pod dowództwem majora Suchodolskiego; 14 lutego 1831 był czynnym w bitwie pod Dubnem, 19 lutego w bitwie pod Grochowem, 9 maja ranny pod Ostrołęką. Później należał do wyprawy na Litwę pod generałem Chłapowskim, 15 czerwca walczył pod Malinówką, 28 czerwca ranny w bitwie pod Wilnem, w której rozbito wojsko polskie, gdyż generał Giełgud, mimo kilkakrotnego wezwania, z pomocą nie nadszedł. Cofające się rozbitki spotkały po drodze korpus generała Ramorino, dążącego do Warszawy. W Brześciu litewskim napadnięty przez Moskali Ramorino uchodził z swym korpusem ku granicy austryackiej; stoczył z nieprzyjacielem kilka utarczek, widząc nareszcie, że się nie oprze przemagającej sile nieprzyjacielskiej pod miasteczkiem Słomniki złożył broń. Ramorino przeszedł granicę, wojsko wzięto do niewoli, z niem Maksymiana Kosińskiego; pędzono ich pojedyńczemi oddziałami na Kijów, Smoleńsk do Kazania, gdzie nasz weteran z majorem Łukasińskim niejakiś czas przebywał, chłodem i głodem przymierając. Łukasiński wplątany w spisek bojarów rosyjskich uszedł aresztowaniu, zabrawszy ze sobą Kosińskiego dostali się do Petersburga, zkąd morzem zbiedz postanowili za granicę, niestety na pokładzie statku przy rewizyi paszportów, które jak się okazało, były podrobione, aresztowano obydwóch, śledztwo wdrożono i skazano ich na wygnanie i posielenie do półwyspu Kamczatki, zkąd Kosiński niemal cudownym sposobem uszedł i wrócił do kraju. Rozmaite przechodząc koleje życia, osiadł ostate-



Maksymilian Kosiński,
Belwoderczyk, 90-letni weteran, żołnierz 12-go pułku strzelców b. wojska polskiego z roku 1830|31.

cznie w Drawsku, w parafii wieleńskiej, w W. Ks. Poznańskiem, gdzie dotąd u dzieci swych przebywa. Dzisiaj sterany wiekiem, do pracy niezdatny, odzywa się do Rodaków, by mu ostatnie chwile życia osłodzili. Nie wątpimy, że się roztworzą ręce miłosierne i udzielą wsparcia zacnemu Belwederczykowi, wojakowi-weteranowi. Otwieramy składkę dla niego i prosimy o nadsyłanie pieniędzy na ręce naszej Redakcyi.

—ski.

Śmierć generała Sowińskiego.

Gdy trzechset dział gromy grzmiące
Dały hasło na bój krwawy,
A moskiewskich rot tysiące
Biegły na szańce Warszawy,

Garstka naszych, za wałami,
Przy Wolskim skryta kościele,
Witając wrogów strzałami,
Z ich trupów drugi wał ściele.

Wódz o szczudle im przywodzi —
Włos jego kryje siwizna;
Lecz młodzieńczą siłę rodzi:
Honor, Wolność i Ojczyzna!

To Sowiński — krwią okryty
Próżno wygląda pomocy;
Szaniec przez wrogów zdobyty —
Męztwo uległo przemocy!

Na kilku żołnierzy czele,
Co z nim pragnęli umierać,
Szablą drogę sobie ściele,
Tysiącom chce się opierać.

W święcone mury kościoła
Cofa się wódz ze swoimi,
I na szczupły hufiec woła:
„Gińmy, lecz gińmy wolnymi!“

Zadumieni niewolnicy
„Zdaj się, mówią, nie walcz z nami.“
A on im z okien świątnicy
Odpowiada — wystrzałami.

Biegną tłumy rozsrożone;
Nowa je wściekłość zagrzała —
Już drzwi kościoła skruszone,
Ale walka nie ustała.

Bronią się rycerze śmieli —
Lecz co chwila ich nie staje;
Wreszcie wszyscy wyginęli —
I Sowiński sam zostaje.

Sam został, lecz nieugięty,
Przed przemocą się nie zniża,
Poszanowaniem przejęty
Dowódzca wrogów się zbliża.

„Krzycz pardon!“ zdala go wzywa,
„Szaleństwem jest śmiałość taka.“
Sowiński pierś mu przeszywa —
„Oto jest pardon Polaka!“

Te były słowa ostatnie
Zsiwiałego bohatera —
Zginął za swobody bratnie:
Tak syn wolności umiera!

Już nie żył — a dzikie wrogi
W milczeniu wstrzymali kroki,
Okiem szacunku i trwogi
Patrząc na rycerza zwłoki! —

Takich Polska miała synów,
Takich wodzów sprawa święta!
I w nagrodę takich czynów
Dziś znów srogie dźwiga pęta!

Konstanty Gaszyński.



Dom w Middelburgu, w którym odbywały się układy pomiędzy lordem Kitchenerem a generałem Bothą.

Ciekawy epizod z wojny boerskiej.

(Do illustracyi.)

Charakterystyczne światło rzucały często na urzędowe sprawozdania angielskie listy, otrzymane przez różne dzienniki europejskie z afrykańskiego teatru wojny. Czytelnicy przypominają sobie między innemi wiadomość, rozpowszechnioną na początku r. z., po nieudanej nagance na De Weta i Bothę, że Botha zawarł z Kitchener'em zawieszenie broni i skłaniał się do zawarcia pokoju na warunkach niekorzystnych dla Boerów. Rozejm trwał rzekomo dwa tygodnie i w Anglii tak silnie wierzono w zniechęcenie Boerów, iż przepowiadano z wielką pewnością kapitulacyę Bothy. Gdy przepowiednia ta nie sprawdziła się, oświadczono, że De Wet zaprotestował przeciw złożeniu broni.

Jak wiadomo okazało się później, że sprawa ta miała się inaczej. Z kilku zgodnych ze sobą listów, ogłoszonych przez pisma stałego lądu, wynika, że nie Botha, lecz lord Kitchener rozpoczął układy z Boerami. Zgłosił się on za pośrednictwem pani Bothy do głównodowodzącego wojskami boerskiemi i prosił o rozmowę. Boerska rada wykonawcza zgodziła się na układy i dnia 28 lutego r. z. Botha udał się do Middelburga. Towarzyszyli mu De Wet i sekretarz prezydenta Van Velden. Anglicy wysłali mu naprzeciw straż honorową pod dowództwem oficera sztabu generalnego.

W Middelburgu, gdzie zebrał się cały sztab generalny angielski, Kitchener wyszedł na spotkanie nieprzyjacielskiego generała, wziął go pod rękę i rozpoczął zaraz rozmowę o wojnie. Układy toczyły się w mieszkaniu Kitchenera, w obecności obu towarzyszów Bothy. Ze strony angielskiej nie było żadnych świadków. Botha oświadczył z góry, że Boerowie domagają się niepodległości i nie odstąpią od tego warunku. Na spotkanie z Milner'em zgodzić się nie chciał, rozmowa nie doprowadziła do żadnego rezultatu, i Botha po wspaniałym obiedzie odjechał.

Wbrew depeszom angielskim, stwierdzili korespondenci boerscy: 1) że o rozmowę prosił lord Kitchener, 2) że po za tą rozmową w Middelburgu, nie toczyły się żadne układy, 3) że zawieszenia broni wcale nie było, 4) że Botha nigdy nie myślał o kapitulacyi.

—ski.





Gdym na ciężkie krwawe boje
Iść przed laty miał,
Tom żegnając dziewczę moje,
Czarny krzyżyk dał.

Rankiem modląc się do Boga,
Za mnie pacierz zmów,
A choć ostre miecze wroga,
Wrócę z boju zdrów.

Tylko stale w mej obronie,
Szczerze Boga proś,
Z wiarą w przyszłość na swem łonie,
Czarny krzyżyk noś.

Widać w czarnym łez jej zdroju,
Szczerość widział Bóg;
Tysiąc braci padło w boju,
A mnie nie tknął wróg.

Lecz z powrotem mając milę,
Gdym ją witać chciał,
Jej nie było, na mogile
Czarny krzyżyk stał.

B. R.

Jedzenie ziemi.

Zdarza się spotkać dziecko, chciwie połykające ziemię lub piasek, ale niejednemu z czytelników może niewiadomo, że pewne ludy stale jadają różne gatunki ziemi, choć analiza naukowa dowiodła, że ziemia wogóle niema żadnej wartości pożywnej.

Pierwszy Aleksander Humboldt zauważył, że lud zamieszkujący brzegi Orinoko jada glinę w wielkiej ilości. Zwrócona w ten sposób uwaga światu naukowemu dała pohop do zajęcia się badaniem tego zwyczaju i wyjaśnienia jego przyczyn, a wyniki tych prac i spostrzeżeń tu grupujemy.

Najpierw więc, jak powiedziano wyżej, zwróciło uwagę uczonego Humboldta plemię Otomaków, zamieszkałe w Ameryce południowej, które w porze deszczowej niemal wyłącznie żywi się delikatną gliną garncarską, barwy szaro żółtej, zabarwionej tlenkiem żelaza. W czasie suszy plemię to żywi się rybami, których ma poddostatkiem, na deser jednakże spożywa zawsze nieco ziemi, jako przysmak. Kilka pokrewnych Otomakom plemion koczujących również używa ziemi na pokarm. Jedno z nich jada glinę pieczoną w oleju; zauważyć jednak wypada, że ci, którzy zbyt zasmakowali w tej potrawie, chudną i posiadają cerę bardzo bladą. Nie sądzimy jednakże, aby ziemię na pokarm używano z potrzeby, — nie, stanowi ona przysmak, za którym niektórzy krajowcy przepadają. Odrywają oni kawałki gliny od ścian domów i chciwie zjadają. Są też pomiędzy nimi i smakosze: twierdzą oni, że nie wszystkie gatunki są równie smaczne i umieją gatunki smakiem odróżnić.

Kobiety zajęte wyrabianiem garnków z gliny, chętnie jadają ten materyał. Krajowcy z nad Rio Magdalena jedzą glinę tłustą, czerwonawą, zawierającą w sobie przegniłe cząstki roślin. Indyanie ze szczepu ruyense z Guyany brazylijskiej i francuskiej używają na pokarm gałek glinianych, w dymie suszonych; w miarę, potrzeby skrobią te gałki i spożywają jako przysmak.

Na Pomorzu, w czasie wojny trzydziestoletniej, mieszano ziemię do chleba, a to samo czyniono później w Dessau i Łużycach. Ziemię tę nazywano mąką górską, a jest ona taka miałka, że nie trzeszczy pomiędzy zębami. Ziemia ta jest właściwie proszkiem ze skorup wymoczków.

Robotnicy w Francensbergu, w okolicach Lüneburga i w kopalniach piaskowca góry Kyts-Ränser, smarują chleb, tak zwanem „masłem kamiennem'', które jest gliną delikatną.

Ową mąkę górską, o której wspomniano wyżej, Lapończycy sprowadzają z Niemiec wagonami i mięszają z mąką przy wypiekaniu chleba. Finlandczycy również jedzą chleb pieczony z mąki, mieszanej z ziemią z wymoczków. Na półwyspie Kolskim krajowcy zaspakajają głód ziemią, która jest sproszkowaną miką, nieposiadającą żadnej wartości pożywnej. We Włoszech koło Treviso i w Styryi mieszkańcy jadają glinę tłustą, chwaląc jej smak i przypisując znaczną wartość pożywną.

Na targach w Sardynii spotykamy placki pieczone z gliny, jako przysmak chętnie nabywany.

Murzyni z Gwinei jedzą ziemię żółtawą, a wzięci do niewoli, skwapliwie poszukują wszędzie tego przysmaku zwanego przez nich „Caonac''. Murzyni w Senegambii posiadają w niektórych miejscach ziemię mydlastą, tłustą i miękką, a używają jej do zaprawy ryżu. W Kamerunie, jako środek przeciw chorobom żołądka, używają gałek z ziemi czerwonej, pieczonych w ogniu.

W bazarach miast perskich spotykamy różne gatunki ziemi, sprzedawane jako przysmak, a szczególniej cieszy się powodzeniem w handlu glina porcelanowa z Mahallat. Na archipelagu Malajskim w każdym handlu dostać można ziemi w różnych gatunkach, z których za najlepszy jest uważany „ampoh.'' Mieszkańcy Jawy jedzą ziemię pieczoną, a Dajakowie — suszoną na słońcu. W Surabaga wyrabiają z ziemi „ciastka,'' które przed upieczeniem maczają w słonej wodzie. Na chorobę „beriberi'' panującą na Jawie, mieszkańcy uważają jako środek najskuteczniejszy — jedzenie ziemi. Na wyspie Borneo, w kopalniach węgla kamiennego, robotnicy jedzą rodzaj łupku węglowego, glinę z domieszką krzemionki. Surogat ten jednak, jak dowiodła analiza, jest stanowczo zdrowiu szkodliwy, to też robotnicy ci mają wygląd melancholików, są wychudzeni, cierpią na zapalenie ócz i wcześnie umierają.

Tunguzi, Czukcy i Kamczadale jedzą delikatną glinę szlamowaną, która ma wygląd śmietany, a smak wcale niezły, choć nieco cierpki. Glina ta jest galaretowatą pozostałością skały trachitowej. W Chinach kobiety jedzą glinę, aby mieć białą cerę, to też na targach tamtejszych spotkać można wielu handlujących ziemią. Na Jesso zamieszkali Ainosi jedzą glinę zmieszaną z korzeniami roślin i ziołami.

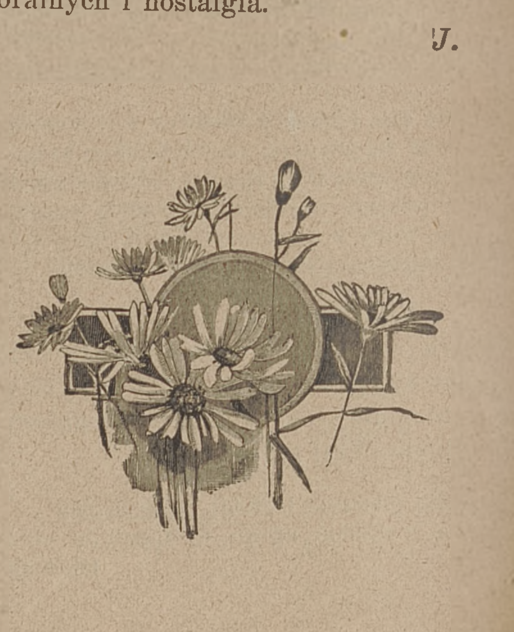
Na Nowej Gwinei Papuasi rozkoszują się smakiem ziemi jadalnej, sprzedawanej w postaci placków, z dziurką w środku. Analiza chemiczna znalazła w tym przysmaku magnezyę, tlenek żelaza, glinę, kwas krzemowy, wapno i kwas fosforowy. Mieszkańcy Nowej Zelandyi jadali dawniej szlam, wyrzucany przez wulkany i białą glinę alkaliczną, mogącą służyć jednocześnie za mydło. Na Nowej Kaledonii Kanacy zaspakajali głód zielonym steatytem, zawierającym w sobie sporo miedzi. W czasie głodu dawni krajowcy Taiti jadali pewien gatunek ziemi czerwonej. Dzikie ludy z Florydy pająki, jaszczurki i węże jadają, z przyprawą pewnego gatunku tłustej ziemi.

W miastach amerykańskich na targach sprzedają pastylki z lekko wypalonej ziemi gliniastej; pastylki te są przysmakiem dla krajowców. Indyanie w Guatemali do potraw używają wielce cenionej ziemi, składającej się z popiołów wulkanicznych. Na Martynice w r. 1751 niewolnikom potajemnie sprzedawano ulubioną przez nich ziemię żółtą i czerwoną. Plemię Karibów leczy dzieci ziemią jadalną. W Kolumbii dawniej na targach sprzedawano ziemię wapienną, którą jedzono z liśćmi koki.

Żydówki kaukazkie, kobiety z Damaszku, Persyi, Indyi, Mongolii, w Syamie, w Afryce, w Guatemala, będąc w stanie ciężarnym, jadają ziemię. Wiele zaś ludów jada ziemię jako obrzęd religijny lub jako środek leczniczy.

Jedzenie jednak ziemi, chociaż tak rozpowszechnione wśród ludów mniej cywilizowanych, wywołuje prawie zawsze pewne choroby, kończące się śmiercią. Wogóle jako cechy charakterystyczne ludów tych zauważono: ogólne wycieńczenie, brzuch obwisły, obrzmienie śledziony i wątroby, cera blada, a nadto zawsze objawy cierpień moralnych i nostalgia.

J.



BELWEDERCZYK.

Już strzał działowy nas nie dostanie,
Jużeśmy w opiece wody,
Na wschodzie błysło świetne zaranie;
Dalej na morskie przygody!

Już mię znudziła przewrotność lądów,
I boleść krzywdy odgłosów;
Znam rozpacz ludów, znam gwałty rządów,
I burze serca i losów.

Tam — tam na lewo droga się bierze,
I płynie w kraj nasz daleki;
Tam ja dziewczynę kochałem szczerze,
Tam ją rzuciłem na wieki.

Lecz kiedym przeżył owe rozstanie,
I stratę świętej Ojczyzny,
Kiedym sam patrzył na jej skonanie,
Niemasz już dla mnie trucizny.

Gdy mnie pogańskie szable nie zsiekły,
Nie sięgła zemsta tyranów,
Gdym uszedł szpiegów rzeszy zaciekłej,
Nie strach mi morskich bałwanów.

Miło w rozpaczy będzie spozierać
Na rozhukane płaszczyzny,
Łatwiej na morzu będzie umierać,
Bo ztąd nie widać Ojczyzny!

Niebo się gniewne w koło zachmurzy,
Jak mi się chmurzy lat wiele,
Jak żyłem w burzy, tak zginę w burzy,
Grobem mi będą topiele.

I pamięć po mnie zniknie w mym rodzie,
Jak ślad po szybkim okręcie,
A równo ginąć w bojach, czy w wodzie,
Czy to w rozpaczy odmęcie.

Bo losu zwrócić nie ma sposobu,
Jak wichru gdy dmie w przestworze;
Dalej więc, dalej do koła globu!
I rozpacz szczęściem być może.

K. G.

Z Zakopanego.

(Z życia malarza.)

....Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca,
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek śladem.
Wszystko topnieje w świetle niebieskiem [i bladem,
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca,
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodo-[spadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą,
Wynurza się jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża czarodziejskim odblaskiem się bielą.
Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą,
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekieł dantejskie okręgi...

— Tak opisuje „Morskie oko“ Asnyk — mówił młody malarz Jan, przerywając czytanie. — I my jutro ujrzeć mamy ów wielki cud natury, o którym dalej pisze poeta:

O wielki poemacie! Ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca [skrytem.
Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna,
W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez ob-[fitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna,
I nakrywa się własnych marzeń swych błę-[kitem..

— Marzycielu, dość deklamacyi — zawołała młoda i piękna brunetka, powstając żywo. — Dokończysz nam czytania tych pięknych poezyi jutro, na szczycie Tatr, a teraz obmyślmy praktyczną stronę wycieczki.

— Zgoda, zgoda — wykrzyknęło kilka świeżych głosów. Jeden z panów, w wytworny strój turysty przybrany wygłosił, cedząc z przesadą każde słówko:

— Rozkazuj pani! Berło królowej przyznane ci na wczorajszym balu, nie utraciło swej mocy. Jesteś w otoczeniu wiernych poddanych....

— Ależ to za wiele: Pan zapominasz o obecności moich towarzyszek i spółtryumfatorek — przerwała żartem piękna pani Laura. — No, ale ja w kwestyach spólnych wypraw uznaję skuteczną moc teroryzmu... I dlatego, nie bawiąc się w głosowanie, zarządzę sama śniadanie i plan całej wycieczki... Kto mi ufa, ten za mną podąży na ślepo... Rzuciła wzrokiem wyzywającym w około -- spojrzenie głębokich i przepaścistych jak zagadka oczu, spoczęło dłużej na wysmukłej postaci Jana.

Młody człowiek drgnął zlekka, i jakby zahypnotyzowany wzrokiem czarodziejki, zbliżył się do niej i szeptem wypowiedział słów kilka, kładących rumieniec zadowolenia na licu młodej kobiety.

Towarzystwo podzieliło się na grupy; z ożywieniem rozpoczęto obmawiać plan spólnej wyprawy do Morskiego Oka, obiecując sobie wyruszyć nazajutrz równo ze świtem. Wesołość panowała w młodem i dobranem gronie towarzyskiem — widocznie dłuższy pobyt w Zakopanem, spólne przebywanie w hotelu, zespoliło kółko poufnym węzłem.

Od rozbawionego grona, odbijała melancholijnym smutkiem jasnowłosa blondyna. Młoda panienka przeglądała nerwowo tomik poezyi Asnyka. Niebieskie jej oczy jednak zaszklone łzami, po przez kartki książki pomykały w cień grabowej alei, kryjącej pochylone ku sobie postacie Jana i Laury.

Zapytana o przyczynę smutku, wytłomaczyła się migreną. Od wycieczki do Morskiego Oka wymówić się pragnęła. Ustąpiła pod naciskiem żarcików, posądzających ją o brak odwagi.

— Jeżeli naprawdę pomyśleć kto może, żem stchórzyła — żem przelękła się niebezpieczeństw, mogących zagrażać całemu towarzystwu, idę z wami — wyrzekła w końcu. — Nie chcę być źle zrozumianą. Tem więcej, żem ja o tej wycieczce od lat paru marzyła, żem cieszyła się na nią jak dziecko...

— A zatem trzeba iść koniecznie — zakonkludowała jedna z pań — inaczej będziemy cię uważać za tchórza lub niekonsekwentną kapryśnicę.

* * *

Nazajutrz o umówionej porze wesoła drużyna wyruszyła w góry.

W pierwszą parę szła zalotna wdówka z młodym malarzem... Niezwykłą urodę młodej kobiety uwydatniał strój góralski, obciskający powabne kształty. Stąpała śmiało, brzęcząc podkówkami nizkich obcasów, z wdziękiem opierała się na sękatym kiju. Odslaniając dwa rzędy białych zębów w czarownym uśmiechu, rzekła, ukazując srebrne chmurki, zawieszone „w szafirów przestworzu.“

— Prawda, jakie to piękne?

— Nie tak jak uśmiech pani — odparł Jan, zapatrzony w zalotne minki kusicielki.

— Niechże pan nie szafuje komplementami od rana, bo może ich nie starczyć na dzień cały.

— Gdyby mi tylko wolno było wypowiedzieć, to co myślę i czuję! — wołał z zapałem młodzieniec.

— Ostrożnie. Kamień usuwa się nam z pod nóg. Jak tu ślizgo!

— Czy zechce pani oprzeć się na mojem ramieniu?

— Muszę zapytać o radę przewodnika.

Ach ta droga pośród malowniczych widoków, pośród „piękności niezmierzonej potęgi i siły“ ile zachwytów budziła w piersi młodego artysty, ile upojeń, z któremi łączyła się nierozdzielnie obecność pięknej towarzyszki....

Pani Julia słówkiem, uśmiechem, wejrzeniem, umiała strącać młodzieńca w „dziki zamęt,“ to znów wznosić go w „rozkoszne upojenie.“ Zasłuchany w szczebiot pięknej zalotnicy, nie zwracał uwagi na resztę towarzystwa — rozdrażniony, gdy pani Laura, po chwili najbardziej erotycznego nastroju, wesołym śmiechem, wzywała postępującego za niemi sportmana porównywając dany widok z odnośnym krajobrazem alpejskim, lub też zwracała się do której z towarzyszek z uwagą natury czysto praktycznej, odnoszącej się do oznaczenia chwili wypoczynku, lub popasu.

Młoda kobieta widocznie bawiła się owem wytwarzaniem kontrastów, i chęcią budzenia coraz to nowych wrażeń w otoczeniu, a zwłaszcza w impre-

syonistycznej duszy młodego malarza.

Wytrawny obserwator zauważyłby, iż po prostu zgrywała się w pragnieniu jaknajrychlejszych tryumfów — i że ów przerafinowany flirt, odbijał jak szpetny fałsz od majestatycznego tła otoczenia. Ale gdzie tu mówić o obserwacyi, gdy w grę wchodzi osóbka przystojna i do tego zalotna?

* * *

Kres flirtowi kładła zwolna przyroda. Droga stawała się coraz bardziej dziką i przepaścistą.

Towarzystwo zamilkło wobec istotnych niebezpieczeństw otaczających je dokoła.

Droga prowadziła przez dolinę wązką i głęboką, otoczoną rwącemi potokami. Tatry, ocienione świerkami chyliły się do nóg podróżnych. W około płaczące kosodrzewy, a wyżej nagie szczyty i setnewąwozy.

Dziki zamęt. Głazami zasypane koryta
Zdają się placem boju gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły,
Z czary, która w jezioro upadła rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją.
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sucha....
Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje tutaj jak dziecina
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją.

Przez blizko pół godziny drapano się milcząco pod górę, wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków przy ogromie mass dokoła siedzących. Cała jej powierzchnia, nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, przeświecała gdzieniegdzie śnieżystemi przesmykami.

Porwane surową wielkością krajobrazu towarzystwo, obawiało się mówić, by słówkiem banalnem nie spłoszyć podniosłości wrażenia.

Pani Laura jedynie i w tej chwili nawet zapragnęła, przeciwstawić „wieczystym potęgom" siłę kobiecej kokieteryi.

Na widok szarotek, błyskających pośród stromych przepaści, zawołała z trzpiotowatym humorem:

— Ach szarotki moje, ulubione kwiaty!

A potem, obrzucając wymownym wzrokiem młodego malarza dodała, odpinając od piersi płomienny bukiet gwoździków:

— Ofiaruję tę wiązankę, za jeden kwiat szarotki. Tak bym go mieć pragnęła.

Jan bez namysłu skoczył w „pustynię skał." Daremnie usiłowano go zatrzymać.

— Ależ to szaleństwo! — wołał sportsmen.

— Panie Janie, zatrzymaj się — drżącym głosem błagała jasnowłosa panienka. — Panie zaklinam cię. Przez pamięć na matkę.

Całe towarzystwo śledziło z gorączkowym niepokojem ruchy młodzieńca.

— Ostrożnie — wołano — zwolna — powraca.

Kilkanaście dłoni wyciągnęło się ku niemu. Już już podążał ku nim, gdy nagle noga mu się pośliźgnęła i zniknął z przed oczu przerażonego grona...

* * *

Głuchy jęk odbił się przeraźliwem echem o niebotyczne skały. Panna Janina zemdlała. Dwóch przewodników przeniosło ją na małą równinę, która miała stanowić miejsce popasu. Trzeci pobiegł na ratunek Janowi

W towarzystwie zapanowało grobowe milczenie...

Nagle z ponad skał wyłoniła się blada, ale uśmiechnięta twarz Jana. Z pomocą górala wstępował na szczyty, w dłoni trzymał dwie szarotki. Jedną oddał pani Laurze, następnie zapytał, spoglądając dokoła:

— A gdzie panna Janina?

Widocznie nie słyszał jej zaklęć, ani okrzyku. Opowiedziano mu wszystko.

— Zemdlała — zawołał głosem przejmującym — zemdlała, i to z mojej przyczyny. Biedna.

I, nie zwracając uwagi na panią Laurę, która z demonicznym uśmiechem podawała mu wiązankę gwoździków, pobiegł w stronę równiny.

Panna Janina zwolna otwierała oczy. Chwycił ją za rączkę i do ust przycisnął.

— Czy godzi się tak lekceważyć swe życie? — szeptała.

— Wybacz mi pani — rzekł, — wybacz. Byłem szalony, niepoczytalny. Ta kobieta wyzywała mnie, a ja chciałem okazać się odważnym... Ach, jakże jej nienawidzę, teraz, gdyś ty cierpiała z jej przyczyny. Bo w tej chwili dopiero zrozumiałem wszystko. Przejrzałem ją i siebie, a może i panią...

— Jakto?

— Czy wolno mi powiedzieć, że kocham cię, i spodziewać się słówek łaskawych?

Nie mogła mówić z nadmiaru wzruszenia, ale rączka jej zatrzepotała w dłoni młodzieńca jak zranione ptaszę powracające do życia.

A chwilka ta, odsłaniająca prawdę i głębię ich uczuć w przeciwstawieniu do sztucznych ponęt i sztucznych upojeń, zadecydowała o ich życiu.

* * *

Nagle z oddali dochodzić zaczęły szmery i głosy:

— Cicho — szepnęła, zrywając się Janina — niechaj nikt nie wie o naszem szczęściu.

Drużyna turystów wypytywała troskliwie o zdrowie panny Janiny. Jedynie piękna pani Laura spoglądała na nią z przekąsem.

Subtelnym sprytem odczuła, iż przeciągnęła strunę, i że to, co popłaca pośród egzotycznej atmosfery salonów, rozbrzmiewa fałszywym, nieraz potwornym dyssonansem pośród przejrzystych sklepień przyrody...

* * *

Zresztą Jan, nie chcąc przedłużać błędnego koła złudzeń, sam zbliżył się do pięknej pani, wypowiadając otwarcie:

— Zapragnęłaś pani kwiatka — zerwałem go z narażeniem własnego życia! Dla panny Janiny życie to zdawało się mieć pewną cenę, ofiaruje jej go zatem z głęboką wdzięcznością...

Iskra.

ŚWIT.

Wszak świta już! — Przetrzyjmy oczy,
Idźmy w jutrzenną dal,
Choć wracająca noc otoczy
Ciemnością szlak — drga wśród zamroczy
Za słońcem żal!

Wszak świta już! Kto dzień zdobędzie,
Spełni zadany trud,
W sług dobrych on policzon rzędzie,
Dla niego cud się jawić będzie,
Świtania cud!

Obdarzon Bożym on pokojem,
Braciom przynosi dań,
Pracy królewskim zdobny strojem...
. . . .
Nad tym ubogim duchem moim,
O, słońce — wstań!

Bożymir.

Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

35) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wyrzucała sobie nieraz gorzko, że zaniedbała zupełnie małą dziewczynkę, pomimo jednak najlepszych chęci zmienić tego nie mogła. Z początku pisała dwa razy do wieśniaczki, raz nawet włożyła w list pięć guldenów, ale na obydwa te listy żadnej nie otrzymała odpowiedzi.

I jakże się zdziwiła i zarazem przestraszyła, gdy przybywszy do Gersthof, już tam owej wieśniaczki nie zastała! Na pytania odpowiedziano jej, że pani Szyndler, tak się wieśniaczka zwała, otrzymała wezwanie brata do Kalifornii, i że wyjechała tam natychmiast. Dziecko zabrała z sobą!

Józefina zmartwiła się w pierwszej chwili tą wiadomością, ale zaraz potem pocieszyła się mówiąc sobie, że pani Szyndler lepiej się może opiekować dzieckiem, niż ona, i że widocznie bardzo je pokochała, skoro zabrała je z sobą w tak daleką i uciążliwą podróż.

Listonosz Dolinger i żona jego pokochali Józefinę wkrótce, jak siostrę.

Byli to ludzie, znający niegdyś lepsze czasy. Dolinger zarządzał przed laty majątkiem hrabiego P., i poznawszy tam nauczycielkę hrabiowskich dzieci, pokochał ją i ożenił się z nią. Dopóki żył stary hrabia P., powodziło im się bardzo dobrze, ale po śmierci jego nastąpił podział dóbr, i spadkobiercy wypowiedzieli mu miejsce. Ponieważ zaś nie mógł dostać nigdzie odpowiedniej posady przeto musiał w końcu, nie chcąc umierać z głodu, przyjąć miejsce listonosza, o które mu się jeden z przyjaciół starego hrabiego wystarał.

Za ich też pomocą udało się Józefinie znaleźć zajęcie u pewnego introligatora. Siedziała tam, w jasnej, wielkiej sali z kilkudziesięciu innemi kobietami, i oprawiała książki, a chociaż zapłata z początku nie była wysoką, to miała jednak nadzieję, że skoro wyuczy się dobrze swego rzemiosła, będzie mogła zażądać więcej.

Pomiędzy licznemi robotnicami introligatora Gladenbacha znajdowały się także dziewczęta z lepszych rodzin z wyższem wykształceniem, ale tych nie wiele tam było. Większa część, pochodząca z stanu nizkiego, przedstawiała typy prawdziwie wielkomiejskie — były to kobiety o dobrem może sercu, ale zalotne, lekkomyślne, zepsute, ubiegające się mniej lub więcej o względy młodego Gladenbacha, który dzięki ogromnemu majątkowi swego ojca, odgrywał ważną rolę w towarzystwach ,nie cieszących się bynajmniej dobrą opinią.

Był to człowiek młody i strasznie lekkomyślny, bez zasad, bez wiary, pragnący jedynie używać świata. Na rozkaz ojca chodził codziennie do fabryki, ale czynność jego ograniczała się na tem, że przeszedł z papierosem w ustach wszystkie sale, i patrzał z upodobaniem na ładne pracownice, które znowu wszelkiemi sposobami starały się zwrócić jego uwagę na siebie. Te, które mu się najwięcej podobały, zapraszał wieczorem do teatru lub na kolacyą, i trwonił jak mógł pieniądze, które ojciec ciężko zapracował.

Józefina zauważyła wnet, co się tu dzieje, i za każdą bytnością Wiktora Gladenbacha spuszczała nizko głowę, nie chcąc mu się wcale pokazywać. Raz jednak nie zauważyła jego wejścia, Wiktor spojrzał na jej śliczną, od pracy zarumienioną twarzyczkę, i zdumiony jej niezwykłą pięknością, szybko zbliżył się do niej. Kto to mógł być?!

— Wygląda jak księżniczka, — pomyślał, odrzucając papierosa.

Józefina wstała i wyszła z sali.

Wiktor pobiegł natychmiast do przełożonego oddziału introligatorskiego.

— Panie Winkler! — zawołał, — kim jest ta piękna blondynka, która w tej chwili wyszła z sali.

Stary Winkler domyślił się zaraz, o co Wiktorowi chodzi i postanowił go odstraszyć od jego złych zamiarów.

— To nowa robotnica, Józefina. Pracuje u nas od trzech tygodni. Nie umiała z początku nic, ale ją trochę już przyuczyłem — nie byłbym jej też przyjmował — znam jednak jej dwóch braci i nie mogłem odmówić im.

— To ona ma dwóch dorosłych braci? — zapytał Wiktor, niemile tą wiadomością dotknięty.

— Tak, — odrzekł poczciwy Winkler z złośliwym uśmiechem, — bardzo zacnych, ale niezmiernie gwałtownych chłopaków. Ojciec ich jest kowalem, prawdziwym olbrzymem! Strzegą oni wszyscy Józefiny, jak oka w głowie, i biada temu, kto się do niej bez ich wiedzy zbliży. Raz przemówił jakiś hrabia do niej na ulicy kilka słów — to go owi bracia zbili tak, że mu ledwie kości nie połamali. Niebezpieczni to ludzie!

— Co u djabła! — szepnął Wiktor przestraszony. — A szkoda! Bo to śliczna dziewczyna!

Po tych słowach wyszedł z fabryki, i sprawa zdawała się być skończoną.



Wiktor spojrzał na śliczną, od pracy zarumienioną twarzyczkę Józefiny.

— Nie dostaniesz ty jej, póki ja żyję, — szepnął stary Winkler, patrząc za odchodzącym. — Będę jej strzegł, jak mogę przed tobą, niegodziwy drapieżniku!

Józefina nie wiedziała wcale, jakiego znalazła opiekuna w osobie starego Winklera, ale podpadło jej, że odprowadzał ją zawsze do domu, i była mu za to serdecznie wdzięczną.

Następnej niedzieli zaprosiła go nawet do siebie na kawę, i Winkler stawił się punktualnie o naznaczonej godzinie, wystrojony, i wyświeżony, i zawarł od razu przyjaźń z Dolingerem i jego żoną.

Józefina znalazła więc opiekunów, którym mogła zaufać, i zwolna zaczęła się godzić z swym losem.

Ale z biegiem czasu wzmagała się coraz to więcej w jej sercu tęsknota za Maksymilianem, i będąc przekonaną, że on znajduje się także w Wiedniu, używała każdej wolnej chwili na bieganie po ulicach, w nadziei, że raz przecież spotkać go musi.

Dolinger i żona jego Ewa nie znali przeszłości Józefiny, kto wie nawet, czy byliby jej wszystko uwierzyli. — Józefina milczała więc i uchodziła zawsze jeszcze za niezamężną wobec swych jedynych i najlepszych przyjaciół, i tak też było najlepiej.

W fabryce powodziło jej się też dobrze, zarabiała teraz tygodniowo ośm guldenów i nie potrzebowała się lękać przyszłości. Z pieniędzy starej Marty nie ruszyła dotąd jeszcze ani grosza — zaniosła je do kasy i postanowiła korzystać z nich tylko w ostatecznej potrzebie .

Zima zawitała w tym roku bardzo wcześnie i mocno dała się we znaki, mianowicie biednym — Józefina jednak, nie zważając na mróz i śnieg, biegała ciągle jeszcze w wolnym czasie po mieście, szukając Maksymiliana.

Pewnego dnia, znajdując się daleko od swego mieszkania, uczuła gwałtowny głód, a przytem było jej tak zimno, że ledwie dalej iść mogła.

Ale restauracyi nie było tu żadnej w pobliżu — i tak musiała się zadowolić kilku pieczonemi kasztanami i rozgrzać nieco przy gorącej blasze, na której leżały.

Za straganem, przy kociołku z żarzącemi się węglami siedziała jakaś kobieta, otulona podartą chustką i przesypywała kasztany.

—Maroni! Gorące maroni! — wołała ochrypłym głosem widząc zbliżającą się Józefinę. — Kupcie maroni, piękna panienko! Dobre są i gorące!

Józefina zbliżyła się i równocześnie rozległ się podwójny okrzyk przerażenia i zdumienia.

Matka i córka stały naprzeciw siebie!

Pierwszą myślą Józefiny było uciekać, wiedziała bowiem, że od chwili, w której rodzice wyszukają jej mieszkanie, ona już chwili spokojnej mieć nie będzie!

Ale poczucie obowiązku zatrzymało ją.

Chociaż rodzice jej byli zbrodniarzami, chociaż inni gardzili nimi, to ona jedna nie miała prawa potępiać ich, ona jedna nie mogła się ich zaprzeć dlatego, że była ich dzieckiem!

— Więc to ty Józefino, — mówiła stara, wychodząc z za straganu. — Ho, ho, masz wcale ładną suknię — pewnie i dużo pieniędzy! A o rodziców nie dbasz ani trochę! Niewdzięczna córka!

— Nie gniewaj się matko na mnie, — odrzekła Józefina, — ale ja z wami żyć nie mogę! Ja nie chcę prowadzić takiego życia, nie chcę już.....

— A gdzie twój mąż? — przerwała szewcowa.

— Ja — nie wiem!

— To nie prawda! Daje on ci dużo pieniędzy?

— Nie!

— Głupia jesteś! Żądaj od niego, ile chcesz, on ci dać musi, i daj mnie też trochę, bo ja nie wiem już z czego żyć! Na kasztanach zarabiam dziennie sześćdziesiąt mniej-więcej fenygów, ale te zabiera mi twój ojciec i przepija je w karczmie. Mieszkamy tu zresztą pod innem nazwiskiem, policya nic o nas nie wie....

— Cicho, matko! Nie mówcie tak głośno!

— Niech mnie słyszą, wszystko mi jedno!

— Gdzie ojciec?

— Chcesz go zobaczyć? Poczekaj chwilę, zagaszę ogień i zaprowadzę cię do niego. Ucieszysz się, gdy go ujrzysz.

Stara zarzuciła na plecy kociołek, mieszek z kasztanami i stołek, i szła obok Józefiny, skręcając w jednę z najbrudniejszych i najnędzniejszych uliczek Wiednia.

Na uliczce tej znajdowała się karczma, zwana Cerna-Hora, będąca przytulkiem.

We dnie zamknięta, otwierała się z nadejściem wieczora, a każdy, jako tako porządny człowiek, omijał ją z daleka, jak złego ducha.

Była to prawdziwa jaskinia złego ducha, do której nawet policya niechętnie zaglądała.

Szewcowa prowadziła tam Józefinę! Zamiast jednak głównemi drzwiami z ulicy, weszła z nią na podwórze dosyć obszerne ale ciemne, pełne jakichś tajemniczych kryjówek, mieszczących zbrodnie......

Okropny to był dom! Ile razy popełniono w Wiedniu jakie morderstwo! lub jaką kradzież, przychodziła policya do Cerna-Hory, i tu znajdowała za każdym prawie razem przestępcę.

W jednym z wysokich, ciemnych domów, otaczających podwórze a należących również do właściciela Cerna-Hory, mieszkał Hilbert.

Szewcowa wprowadziła Józefinę na drugie piętro, i zapukała do pierwszych drzwi.

Z głośnem przekleństwem otworzył je Hilbert i Józefina ujrzała ojca!

Boże, jak ten człowiek wyglądał! Z silnego i zdrowego, stał się prawdziwie zgrzybiałym starcem, a ręce i głowa trzęsły mu się ciągle, jak we febrze. Oczy czerwone i popuchnięte, pełne były łez, a twarz nabrzmiała i blada świadczyła aż nadto o strasznym nałogu pijaństwa!

Pieniądze, otrzymane za kradzież brylantów, od Ramira, przepili i zmarnowali oboje w bardzo krótkim czasie, ale skutki i przyzwyczajenie pozostało!

Józefina cofnęła się przerażona na widok ojca.

— Patrz, kto to jest? — zawołała stara. — Cóż to, nie poznajesz ty pięknej pani? Wszakże to Józefina! Spotkałam ją przypadkiem!

— Józefina! — wybełkotał pijak. — Aha, wiem, to — nasza — córka. Masz dużo pieniędzy?

— Nie.

— Ale twój mąż bogaty.....

— Nie mam nic!

— Ty zawsze byłaś głupią! — krzyknął Hilbert rozgniewany, wyciągając z kieszeni butelkę i popijając wódkę. — Ty nie umiałaś korzystać z szczęścia, ale nie za późno jeszcze! Jeszcze jesteś ładna i młoda — tam na sali w Cerna-Horze tańczą — jest tam kilka bogatych panów — co myślisz, pójdziemy? W najgorszym razie musi nam jeden z nich kupić ciepłą kolacyą!

Józefina przycisnęła ręce do uszu.

Nie, tu dłużej zostać nie mogła! I w tej chwili, po raz pierwszy nasunęła jej się myśl, czy ona rzeczywiście jest dzieckiem tych ludzi, z którymi nic jej nie łączyło! Nie była do nich ani podobną, nie czuła żadnej dla nich miłości i nigdy też nie doznała z ich strony jakiegoś dowodu przywiązania. W latach dziecięcych bili i katowali ją oboje, później, gdy wyrosła na śliczną dziewczynę, chcieli ją sprzedać więcej dającemu, a tego przecież żaden ojciec, żadna matka uczynić nie może!

— Słuchajcie, — zawołała teraz, — muszę się z wami rozmówić, i stawić wam jedno pytanie, a jeżeli powiecie mi prawdę, to was hojnie wynagrodzę.....

— Aha, więc masz pieniądze! — szepnął pijak.

Szewcowa posunęła jej połamane na wpół krzesło, sama zaś usiadła na żelaznem, brudnem łóżku, i oparła głowę na rękach.

— Powiedźcie mi, — zaczęła Józefina cicho, — czy ja jestem waszem dzieckiem? Wychowaliście mnie wprawdzie, ale głos jakiś wewnętrzny mówi mi, że ja wam zupełnie jestem obcą! Powiedzcie mi prawdę!

— Oho! czy myślisz, że my ci tak zaraz, ni ztąd ni z owąd powiemy całą tajemnicę? I za co? Za parę nędznych guldenów! O nie! Stary Hilbert nie taki głupi! wołał pijak powstrzymując głośną czkawkę.

— Milcz, opoju, nie pleć tego, o czem nie wiesz! — krzyknęła szewcowa. — Józefina jest naszą córką!

— Nie wierzę, nie wierzę, — zawołała młoda kobieta z pewnem uczuciem ulgi. — Ale co obiecałam,to dotrzymam, dam wam kilka groszy, chociaż sama nie mam wiele i ciężko muszę na chleb pracować!

I wyjąwszy woreczek z pieniędzmi, podała szewcowej pięć guldenów papierowych.

— Weźcie, — rzekła, — i odtąd będę się starała dawać wam co miesiąc kilka groszy! Bylebyście nie mieli żadnych zatargów z policyą!

Stara chciwie wyciągnęła rękę po pieniądze, ale zanim zdołała je wziąść, rzucił się mąż jej ku Józefinie i wydarł jej banknot. W następnej chwili już go w pokoju nie było.

— Oddaj mi pieniądze, łotrze! — krzyczała żona jego, biegnąc za nim. — Oddaj mi — to moje — ty pijaku — ty gałganie — oddaj mi moje pieniądze!

Na dole w sieni, dogoniła go jeszcze i teraz musiała Józefina patrzeć na wstrętną walkę, jaka się pomiędzy nimi rozpoczęła. Szewc wyczołgał się aż na podwórze, ale stara, uczepiona na jego plecach, biła go pięściami po głowie, obrzucając najohydniejszemi wyzwiskami.

W oknach ukazały się tu i owdzie głowy mieszkańców domu, wszyscy śmieli się na widok tej bitwy i zachęcali głośnemi krzykami obie strony do tem zaciętszego boju. W końcu udało się jednak Hilbertowi kopnąć żonę tak silnie, że zatoczyła się i upadła na kamienie, a on korzystając z tego, zniknął w bramie.

Józefina nie czekała dłużej. Przekonawszy się jednem spojrzeniem, że stara żyje i że się podnosi, zbiegła

szybko na dół i uciekała z tego domu, jak gdyby ją kto gonił.

Nie uważała jednak, że po drugiej stronie ulicy szedł za nią mały chłopiec i że obejrzał sobie uważnie nazwę ulicy i numer domu, do którego weszła.

Chłopiec ten był synem sąsiadki Hilbertów, i szewcowa posłała go umyślnie za Józefiną, aby wyśledził jej mieszkanie.

Dolingerowie dziwili się, dlaczego Józefina taka dziś blada i milcząca, ale ona nie chciała im nic mówić o tych, których uważała dotąd za rodziców. Wstydziła się, że wychowali ją tacy zbrodniarze!

ROZDZIAŁ LI.

Biedny listonosz.

Józefina za nic w świecie nie byłaby po raz drugi poszła do Cerna-Hory, ale chcąc dotrzymać słowa, posłała tydzień przed Bożem Narodzeniem Hilbertom małą sumę pieniędzy przez pocztę.

Zdawało jej się, że wypełnia swój obowiązek dostatecznie, tem więcej, że czuła się coraz więcej przekonaną, że nie jest ich dzieckiem.

W fabryce było dużo przed świętami roboty. Dziewczęta musiały nieraz poświęcić część nocy, za co im osobno płacono, ale Józefinie było to bardzo nieprzyjemnie, ponieważ musiała sama w nocy wracać do domu.

I dziś znowu tak się stało.

Śnieg spadał w gęstych płatkach, a gwałtowny wicher rzucał go w twarz idącym. To też na ulicach pusto było — znajdowali się tam tylko tacy, którzy iść musieli, albo którzy we dnie obawiali się wyjść. Józefina odbyła już większą część drogi i wchodziła właśnie na most Ferdynanda, gdy nagle stanęła kolo niej jakaś postać kobieca.

Była to stara Hilbertowa!

— Jedno słówko, Józefino, — szepnęła swym ochrypłym głosem. — Dla matki twej będziesz miała kilka minut czasu!

— Ani jednej minuty, — odrzekła Józefina szorstko. — Wracam z roboty i jestem strasznie zmęczona! Posłałam wam przedwczoraj tyle pieniędzy, ile mogłam, i więcej dać nie mogę!

— Bardzo uprzejmie przemawiasz do twej matki! Ale powiem ci coś ważnego.....

W tej chwili przeszedł kolo nich młody, wytwornie ubrany mężczyzna, spojrzał uważnie na Józefinę i zatrzymał się przy najbliższej latarni. Józefina nie zauważyła go.

— O cóż to chodzi? — spytała.

— Policya wyśledziła nas! Nasz gospodarz, któremu jesteśmy winni za mieszkanie, i który znając nasze prawdziwe nazwisko, zameldował nas pod fałszywem, zagroził, że jeżeli nie zapłacimy mu do jutra, pójdzie na policyą i powie, kto jesteśmy!

— Cóż ja wam pomódz mogę? — zawołała Józefina przerażona. — Jeżeli zawiniliście, to musicie odpokutować i ponieść zasłużoną karę! A potem nowe rozpocząć życie i.....

— Głupstwo! Twoich morałów nie potrzebuję słuchać, — krzyknęła jędza. — Pomyśl lepiej o tem, że gdyby nam wytoczono proces, to i ty byłabyś wmieszana w tę sprawę!

— Ja? Ja przecież nigdy z wami nie miałam nic wspólnego! Nie wiedziałam, że ci, których uważałam za rodziców, są zbrodniarzami!

— Czy wiedziałaś czy nie, o to sędzia pytać nie będzie! Nazwisko twoje zostanie umieszczonem w gazetach, twój chlebodawca wypowie ci miejsce i tyle będziesz miała zysku. Daj mi trzydzieści guldenów.....

— Nie dam ani grosza! Nie mam tyle i nie dam.

Mówiąc to, odwróciła się Józefina i szybko dalej pobiegła. Stara przeklinała głośno ją i cały świat, bo wiedziała, że wszelkie jej usiłowania wydobycia pieniędzy od Józefiny były daremne.

I już zabierała się do odejścia, gdy nagle zbliżył się do niej mężczyzna, stojący dotąd po drugiej stronie ulicy przy latarni.

— Czekajcie chwilę, — zawołał.

— Czego pan chce odemnie, — rzekła stara opryskliwie.

— Odpowiedzi na kilka pytań. Znacie tę młodą dziewczynę, z którą co dopiero rozmawialiście?

Szewcowa przeczuła, że może tu coś zarobić i stała się od razu bardzo uprzejmą.

— Czy ją znam? — odpowiedziała z uśmiechem. — Naturalnie! Wszakże to moja córka Józefina!

— Nie może być!

— Tak jest! Czemu pan o to pyta?

— No — bo ona bardzo mi się podoba! Ale to dziewczyna dumna i nieprzystępna!

— Tak źle nie jest, trzeba tylko wiedzieć, jak postępować!

— Może mi powiecie jak? Dam wam za to sto guldenów!

Oczy starej błysnęły radością.

To za mało! — zawołała — daj pan pięćset!

— Czy oszaleliście? — Ale mniejsze o to, dam, tylko mi powiedzcie, gdzie ją widzieć mogę!

— Zna pan Cerna-Horę?

— Pfe, tam przecież przyzwoity człowiek iść nie może!

— Nie potrzebuje pan tam chodzić, ale przyjdź pan w wigilią Bożego Narodzenia do nas — mieszkamy w podwórzu Cerna-Hory, na drugiem piętrze, drzwi pod numerem drugim — tam pan zobaczysz Józefinę!

Wiktor Gladenbach, on to był bowiem, wyjął pugilares i dał starej trzydzieści guldenów.

— To na zaliczkę, — rzekł zadowolony.

— A jak się pan nazywasz? — zapytała stara chytrze.

Wiktor wymienił swoje nazwisko, skinął głową i odszedł.

Stara schowała starannie pieniądze i uśmiechnęła się radośnie.

— Poczekaj, mój panie Gladenbach, — szepnęła, — nie są to ostatnie od ciebie banknoty!

Dzień przed wigilią Bożego Narodzenia pozwolił Winkler Józefinie odejść już o czwartej z fabryki, chciała bowiem kupić jeszcze parę drobnostek dla Dolingerów i Winklera samego, i przygotować wszystko, co potrzeba na święta.

Młoda kobieta kupiła dla swych przyjaciół ładne upominki i wracała zadowolona do domu. Ale gdy weszła do sieni, cofnęła się przestraszona — na schodach stała jej matka!

— Nie lękaj się, szepnęła stara, — przyszłam do ciebie, aby ci zaproponować interes.....

— Wy mnie?

— Tak, i to interes, na którym dobrze zarobić możesz!

— Ale ja nie chcę o niczem słuchać, — odrzekła Józefina, domyślając się jakiejś nowej niegodziwości.

— Oho! A gdyby chodziło o twoje pochodzenie? Gdybyś miała się dowiedzieć, — kim są twoi rodzice?

Józefina zbladła.

— Więc powiecie mi prawdę? — zawołała, chwytając rękę szewcowej.

— Może — nie zasługujesz wprawdzie na to, ale i nam nic nie przyjdzie z zachowywania tajemnicy. Jutro jest wilia Bożego Narodzenia — przyjdź do nas!

— I powiecie mi wszystko?

— Tak!

— Przysięgnijcie mi to! — zawołała Józefina bez tchu prawie.

— Przysięgam! — odrzekła Józefina uroczyście.

— Dobrze, — szepnęła Józefina, — przyjdę jutro o dziewiątej! I przyniosę pieniądze, ile ich jeszcze mam! Ale starajcie się o to, aby mąż wasz był trzeźwym!

— Więc jutro o dziewiątej wieczorem!

Józefina wbiegła do swego pokoju i zamknęła drzwi natychmiast za sobą, szewcowa zaś nie wyszła jeszcze z domu. Wsunęła się pomiędzy drzwi i ścianę, i słuchała z natężoną uwagą, czy kto do kamienicy nie wchodzi. Ale w całym domu głęboka panowała cisza.

— Wszystko dobrze, — szepnęła. — Józefina przyniesie jutro najmniej pięćdziesiąt guldenów, Gladenbach da pięćset — ale to jednak na podróż nie starczy. Z Wiednia uciekać musimy i to jak najprędzej! Ach, żeby nie ten mój mąż! On mnie jeszcze na szubienicę pociągnie za sobą! Trzeba mi spróbować, czy tu, u listonosza, nie mo-

żnaby znaleźć listów z pieniędzmi, mianowicie teraz, przed Gwiazdką..... Pora stósowna!

I wyjąwszy z kieszeni kawał płótna i małą buteleczkę, chciała wyjść z za drzwi.

Ale równocześnie wszedł do sieni jakiś mężczyzna, w którym łatwo było poznać listonosza, i stara zbliżyła się szybko aż do schodów. Wyglądało to tak, jak gdyby od dawna już tam na niego czekała. I w chwili gdy zamierzał wejść na schody, odezwał się tuż przy nim cichy, płaczliwy głos starej jędzy.

— Ach, kochany panie listonoszu, — jestem wdowa Stolze, i mieszkam od przedwczoraj w twoim okręgu. Nie masz listu dla mnie? Mój syn miał mi przysłać kilka guldenów.....

— Nie, dla was ani listu ani pieniędzy nie ma!

W tejże chwili otworzyła szewcowa buteleczkę, oblała płótno zawartym w niej płynem, i zbliżyła się jeszcze bardziej do listonosza.

— Jaki tu nagle dziwny zapach..... — zaczął Dolinger.

Ale dalej mówić nie mógł. Jak pantera rzuciła się szewcowa z tyłu na niego, i przycisnęła mu do ust i nosa chustkę, przesiąkłą chloroformem, upadł na ziemię.

Szewcowa przerzuciła jego torbę.

— Co u licha! — krzyknęła, — jeden tylko list! Czterysta guldenów! No, i to dobre!



Co u licha — krzyknęła szewcowa — jeden tylko list! Czterysta guldenów! No, i to dobre!

I po chwili już jej w domu nie było! —

Józefina tymczasem ułożyła w szafie zakupione drobnostki i przeszła do pokoju pani Dolinger.

— Wypijemy teraz razem kawę. — rzekła żona listonosza.

— Nie zaczekamy na twego męża? — zapytała Józefina.

— Ja zaczekam naturalnie, ale tobie tak zimno! Rozgrzyj się trochę kawą! Lękam się zawsze, aby męża mego nie spotkało jakie nieszczęście. Ma zawsze dużo pieniędzy przy sobie, a tutaj tyle złych ludzi.....

— Ach, on taki ostrożny!

— Masz słuszność, ale pomimo to jestem czasem bardzo niespokojna. Muszę iść jeszcze po kilka sucharków dla niego, on je tak lubi! Wrócę natychmiast!

Ewa Dolinger wybiegła i zaraz potem rozległ się przerażający krzyk w kamienicy.

— To głos Ewy! — pomyślała Józefina, biegnąc za przyjaciółką.

Na dole, na schodach leżał Dolinger, zdawał się już nie żyć, a przy nim klęczała z załamanemi rękami nieszczęśliwa Ewa!

— Co się stało? krzyknęła Józefina.

— Zamordowano go! Zrabowano, okradziono go! Zabito mego męża! — wołała Ewa nieprzytomna z rozpaczy.

Józefina pochyliła się nad leżącym i odetchnęła swobodniej.

— Nie, on żyje, — rzekła, — serce jego uderza.....

— Ale okradziono go! Bóg wie, ile miał pieniędzy w torbie! Jesteśmy zgubieni, bo mój mąż odpowiada za wszystko!

Józefina pobiegła po wodę i razem z Ewą zaczęła trzeźwić nieprzytomnego.

Po upływie kilku minut otworzył Dolinger oczy, a pierwsze jego spojrzenie padło na próżną torbę.

— Zabrano mi list z pieniędzmi, — jęknął. — Jestem odpowiedzialny za to co mi powierzą.....

— Ale za napaść nikt odpowiadać nie może, — przerwała Józefina.

— To prawda, tylko, że list ten powinien był już być oddanym. Nie zastałem jednak adresata w domu, i dla tego chciałem list odnieść dopiero jutro rano! Jakaś stara nędznie ubrana kobieta rzuciła się na mnie, i odurzyła mnie chloroformem — — Ach, czemu nie wypełniłem mego obowiązku! Nie zastawszy adresata w domu, powinienem był odnieść list na pocztę i wziąść go znowu jutro! Nie miałem ochoty chodzić tak daleko i.....

— I musisz zapłacić te pieniądze? — zawołała Ewa.

— Tak, zaraz jutro! — zawołał nieszczęśliwy listonosz.

Józefina stała jak skamieniała. Gdy Dolinger wspomniał o starej, nędznie ubranej kobiecie, domyśliła się odrazu, że zbrodniarką była szewcowa.

— Ile tam było pieniędzy? — szepnęła.

— Czterysta guldenów!

— O Boże! — krzyknęła Ewa, głośnym wybuchając płaczem.

— Tak, a my ledwie dziesięć mamy, — rzekł Dolinger ponuro.

— Idźmy przedewszystkiem na górę, — zawołała Józefina. — Tutaj może kto wejść, a nie potrzeba, aby słyszano naszą rozmowę.

Wsparty na ramieniu Ewy, wszedł biedny listonosz na schody i po chwili znajdowali się wszystko troje w jego mieszkaniu.

Straszna rozpacz ogarnęła tych ludzi. Ewa płakała, mąż jej siedział z załamanemi rękami, z oczami w posadzkę utkwionemi, Józefina zaś chodziła po pokoju, myśląc nad czemś ważnem.....

Nareszcie poszła do swego pokoiku i wróciła zaraz z małą w ręku paczką.

— Nie traćcie odwagi, kochani przyjaciele, — rzekła serdecznie, — ja wam pieniądze dam na zapłacenie tego nieszczęsnego długu! Brak tu tylko dwudziestu guldenów, a o te wystaracie się łatwo.

I położyła książeczkę z kasy na stole.

Pieniądze te były całym jej majątkiem, jedynem zabezpieczeniem przyszłości, ale widząc przyjaciół swych w tak smutnem położeniu, nie wahała się ani na chwilę z ofiarowaniem im pomocy.

Z okrzykiem radości rzuciła jej się Ewa w objęcia.

— O ty najlepsza, najszlachetniejsza istoto, — wołała, ściskając ją, — jakże my ci się odwdzięczyć zdołamy!

Dolinger upadł przed nią na kolana.

— Przyjmuję te pieniądze, — szepnął ze łzami w oczach, — bo to jedyne moje zbawienie! I będę się starał oddać je jak najprędzej! Pójdę zaraz na policyą, może zdołają wyśledzić i schwytać złodziejkę!

Ale Józefina prosiła go, aby tego nie czynił, zwracając mu uwagę na to, że rozgłoszenie tego wypadku mogłoby mu zaszkodzić w oczach przełożonych. Lepiej iść do kupca, dla którego pieniądze były przeznaczone, wyznać mu otwarcie prawdę, i sumę należną wręczyć.

Dolinger zgodził się na to, i Józefina uczuła się o wiele spokojniejszą. Wiedziała, że w razie wmieszania się policyi w tę sprawę, powołanoby ją na świadka, a tego pragnęła uniknąć.

Nazajutrz zostało wszystko załatwionem, i serdeczna radość zapanowała w skromnem mieszkaniu Dolingerów. Na wieczór zaproszono także Winklera, aby z nim razem obchodzić wigilię, a poczciwy starzec przyjął chętnie wezwanie, i przyniósł swoim przyjaciołom rozmaite upominki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z TEATRU.

(„Salamandra.“ Sztuka w 4-ch aktach Stanisława Graybnera.)

W zeszłą sobotę wystawiona po raz pierwszy komedya Stanisława Graybnera pod nie-pięknym tytułem: „Salamandra“, należy do gatunku sztuk sympatycznych t. j. utworów, które zgodne w tendencyi z pojęciami głoszonemi powszechnie i przyjętemi przez ogół, przynajmniej w teoryi, harmonizują z psychologią mas, zapewniających sztuce kasowe powodzenie, a nie są zaczerpnięte z tajników duszy ludzkiej i nie wysubtelizowane tak dalece, by przekraczały skalę wyobrażeń przeciętnego widza. „Salamandra“ posiada zarodek popularnego powodzenia w znacznym stopniu.

Autor zestawił cnotę z niecnotą, dobroć i szlachetność z egoizmem i namiętnością, wierną żonę z nikczemnym mężem, wyposażył bohaterkę w tyle rysów sympatycznych, odmalował jej smutne pożycie z szulerem tak dokładnie i barwnie, że widz zachwyca się cnotą a potępia niecnotę — narysowaną czarno, zdecydowanymi, silnymi rysami. Aby zdobyć poklask widza, potrzeba było jedynie jeszcze pognębić czarny charakter, a wynagrodzić cnotę w ostatnim akcie. Lecz autor cofnął się przed tem rozwiązaniem sztuki i rozszedł z uświęconemi pojęciami idealistów i filistrów, w których mniemaniu żona powinna była pozostać przy boku męża i swym wpływem leczyć ukaranego męża w zgubnej namiętności, poświęcić się i pozostać na straży domowego ogniska.

Poznajemy Zofię Borkowską w nędzy i tarapatach, spowodowanych szulerką męża. Dziadek namawia ją, by dla dobra dziecka i swego opuściła smutny dom mężowski i szła z nim w ciszę lasów litewskich, które wniosłyby pogodę w starganą jej duszę i zapewniły synkowi zdrowie fizyczne i moralne. Inną drogę wyjścia wskazuje jej siostra, zachęcając ją słowem i przykładem do szukania rozrywki i... dobrych kolacyi w towarzystwie „kandydatów na kochanków“, oblegających każdą niebrzydką, uśmiechniętą zalotnie kobietę, biegłą w sztuce flirtu.

Lecz Zofia, kobieta o poważnym nastroju umysłu i wysokich zaletach serca, stoi mężnie przy boku męża. Nie porzuca go nawet w krytycznej chwili, gdy zacietrzewiony kasyer bankowy przegrywa z funduszów firmy znaczniejszą kwotę i grozi mu więzienie. Nie porzuca go, przeciwnie szuka odruchowo deski ratunkowej. W tym celu udaje się do aktorki Alicyi, będącej w stosunkach z dyrektorem firmy, w której pracuje Wiktor Borkowski, nagina się do prośby o wstawienie się u dyrektora za nieuczciwym urzędnikiem. Przechodzi to wszak że możność Alicyi. Natomiast wdzięki Zofii wywierają wpływ magiczny na bankiera, który za cenę jej wierności gotów uratować jej męża od zguby. Siostra zarówno jak sam mąż namawiają Zofię, by nie odpychała bankiera, który naznacza jej schadzkę i pozostawia dwa tysiące rubli na umorzenie deficytu w kasie. Pieniądze te dostają się w ręce karciarza Zamiast natychmiast zwrócić je bankierowi, Wiktor porwany szałem biegnie grać i wraca — z pieniędzmi. Zdaje się, że w nieszczęsnem stadle zapanuje pokój i zgoda, przynajmniej na pewien czas. Atoli Zofii spada nareszcie łuska z oczu, cały moralny upadek Wiktora, w którym pogrążyła go pasya do kart, staje przed nią nago i gaśnie reszta wiary w jego odrodzenie. Umysł zaczadzony, przeżarty namiętnością do grynie odzyska równowagi, człowiek, który „takiemi pieniędzmi“ ogrywał się, nie będzie nigdy dobrym mężem ani ojcem. To człowiek stracony, który prędzej czy później pójdzie na dno w szumowinach życia. Odepchnął żonę swem wyuzdaniem szulerskiem, Zofia przeto bierze z nim rozbrat i wyjeżdża w lasy.

Efektowne to rozwiązanie sztuki nie znajduje dostatecznego uzasadnienia w pierwszych trzech aktach. K Graybner bowiem zaniedbał określić należycie stanowisko Zofii wobec defraudacyi męża tak, iż strona etyczna jej charakteru jest nam nie znaną i nie domyślamy się w niej tak kryształowej duszy. Poczytujemy ją za kobietę zmysłami przykutą do męża, wierzącą w odrodzenie jego, zaślepioną, niewolniczą.

Zresztą mętne wnętrze duszy Wiktora ujawnia się niedwuznacznie już w chwili, gdy on popycha żonę na stromą drogę wiodącą do wiarołomstwa. Kobieta powinna odczuć, że on w sercu zezwala jej na dorywczy stosunek z bankierem, na sprzedanie się za cenę złota, byle wyszedł z fatalnego położenia bez szwanku, byle nie miał pozytywnej świadomości wiarołomstwa. A Zofii nie otwierają się oczy na nędzę charakteru męża, więc nasuwają się wątpliwości czy mogła zrazić się do niego, iż szukał szczęścia przy zielonym stoliku pieniędzmi kandydata na kochanka. Wątpliwości te wynikają z tego, że autor nie wycieniował postaci bohaterki, nie zdradził półtonów drzemiących w jej duszy, nie wtajemniczył nas w jej etykę jak tego wymagał wzgląd na rozwiązanie komedyi.

Wszelako w chwili przełomu Zofia wyrasta na istną bohaterkę, z kobiety cierpiącej, z matki, żony i samicy staje się człowiekiem samoistnym, pojmującym obowiązki w obec siebie.

Nie znam innych utworów pana Graybnera, lecz sądząc z „Salamandry“ autor przedstawił się w świetle korzystnem jako zdolny pisarz dla sceny i umiejętny technik, który nie powinien poniżać się do tanich, przejrzystych sztuczek scenicznych. A taką sztuczką jest n. p. usadzenie bankiera w pierwszej scenie z Zofią przy ubocznym stoliku tak, by nie widział wchodzącej do pokoju, i pisanie listu Bóg wie do kogo i poco, by nie spojrzał odrazu w twarz nadobnej petentki. Powtóre autor wplótł scenki aż nadto wyraźnie obliczone na poklask wyższych sfer teatralnych, zdradził chęć stworzenia sztuki — sympatycznej. Do takich momentów należy modlitwa synka Borkowskich na wstępie ostatniego aktu, niby żywcem wyjęta z melodramatu, skreślanego w myśl antihazardowych związków.

Dyalogi potoczyste, miejscami błyskotliwe, wytworne a nawet starannie cyzelowane, atoli w momentach o silniejszem napięciu dramatycznem zawodzi autora swada.

„Salamandra“ nie wywierała odpowiedniego wrażenia, bo pani Orwidowa nie dorosła jeszcze do roli Zofii, wymagającej wielkiego obycia się ze sceną i wyrobienia. W „Mężu z żoną“ w roli sawantki pani O. mogła zadowolić nawet wybrednego widza, bo cała rola utrzymana jest w jednym i spokojnym tonie. Tymczasem rola Zofii obfituje w momenty dramatyczne, mieni się coraz innemi przejawami uczuć i bohaterka przetwarza się w oczach widza. Pani O. bodaj sama nie czuła się na siłach, by sprostać roli; zakłopotanie jej i niezaradność uderzały jaskrawo. Pojmujemy, że młoda aktorka potrzebowałaby więcej czasu na przetrawienie roli i wcielenie się w postać Zofii, aniżeli pozwalają jej warunki sceny poznańskiej.

Czarno narysowaną postać szulera p. Stradiot odczuł i zrozumiał z intuicyą aktorską. Wszystko, co autor wlał w nią, zaznaczył p. S., lecz oddał postać szulera niestarannie, szablonowo. Pannie Jeremi należy się komplement za gustowne eleganckie tualety i wygląd powabny, lecz — na tem koniec. A szkoda, bo rola warszawskiej flirtówki bardzo wdzięczna, zwłaszcza dla aktorki, która umie wygłaszać odpowiednio aforyzmy i przyswoiła sobie dykcyę salonową. W ga-

leryi postaci spotykamy wiele stereotypowych, nieciekawych; takiego bankiera, takich dandysów, takiego poetę. Natomiast piętno prawdy nosi eksbaletniczka Trepczyńska, którą pani Królikowska odtworzyła z przekonaniem.

Wogóle sztuka szwankowała w wykonaniu.

Roman Rola.

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

Dobra Tokarzewskie przeszło 4000 mórg obszaru, włącznie 2000 mórg lasu, która to majętność od pp. Grabowskich drogą kupna przeszła co dopiero na własność domu bankowo-komisowego *Drwęski & Langner* w Poznanu — już rozparcelowane i to wyłącznie pomiędzy swoich.

Wieś rycerską Tokarzew 1500 mórg nabył w okolicy powszechnie znany obywatel p. Stefan Lesiński z Raszkowa, — folwark Nowy 800 mórg nabył rodak p. Ludwik Kleinert z Chinowa pod Ostrowem, folwark Wygodę 700 mórg nabył miejscowy leśniczy p. Janusz Osiński, folwark Jadwisin 400 mórg nabyli wspólnie pp. Walenty Korczak i Józef Sobczak, gospodarze z Kaliszkowic kaliskich pod Mikstatem; wreszcie gospodarstwo 150 morgowe nabył gospodarz Turek z Tokarzewa. Resztę w mniejszych parcelach rozebrali przylegli gospodarze i komornicy dominialni, tak — że z całego majątku nie zostało ani skrawka. Las podzielono również pomiędzy nabywców odpowiednio do nabytego gruntu, wskutek czego pomimo licznych działów pozostało wszystko w polskich rękach. Zdanie gospodarstwa także już nastąpiło.

Nabywcom szczęść Boże!

Na całą okolicę i poza granicą tejże znany „*Dom Towarowy*" pod firmą *S. Lesiński w Raszkowie*, który tamże już nieomal od ćwierć wieku istnieje i, jak powszechnie wiadomo, świetnie prosperuje — przeszedł wskutek zamiany na posiadłość ziemską na własność firmy *Drwęski & Langner,* domu bankowo komisowego w Poznaniu — i jest pod korzystnemi warunkami zaraz do nabycia.

Wspomniany Dom Towarowy mieści się w kamienicy specyalnie w tym celu pobudowanej, która również przeszła na własność firmy *Drwęski & Langner.*

Dla rodaka a dzielnego kupca nadarza się więc dobra sposobność zapewnienia sobie pewnej egzystencyi przez nabycie tego interesu, na co pp. kupcom zwracamy niniejszem szczególną uwagę. — Wszelkich bliższych danych dowie się Czytelnik w ogłoszeniu równocześnie zamieszczonem.

Baczność! Dyrekcyą teatru dochodzą od osób z prowincyi skargi na wędrującą jakąś trupę teatralną, mianującą się bezprawnie „Teatrem poznańskim," a sprawiającą publiczności najczęściej zawody i rozczarowania. Wobec tego dyrekcya oświadcza, że rzeczona trupa z teatrem poznańskim nie ma nic wspólnego i że żaden artysta sceny poznańskiej nie bierze w niej udziału.

— Z teatru. W sobotę 29-go b. m. w rocznicę Mickiewiczowską, daną będzie po raz pierwszy „Warszawianka", pieśń z roku 1831 przez Stanisława Wyspiańskiego z dodaniem komedyi jednoaktowej Kornela Ujejskiego „Pierwiosnki".

W niedzielę 30-go bm. po południu „Gwiazda Syberyi", dramat L. hr. Starzeńskiego. Ceny do połowy zniżone. Tego dnia wieczorem „Warszawianka" i „Pierwiosnki".

Na obronę prawną i biuro informacyjne odebraliśmy od przyjaciół „Pracy" z westfalskiej ziemi 5 mr. Razem złożono dotąd na ten cel 40 mr. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Dla wdowy po nauczycielu odebraliśmy od pana A. W. z Parlina 3 mrk. Razem złożono dotąd na ten cel 7,50 mr. Dalsze datki przyjmujemy chętnie.

„Lutnia." Nową niespodziankę gotuje nam „Lutnia." Udało się bowiem czynnemu zarządowi uprosić o występ słynnego pianistę, profesora Franciszka Bylickiego, który wyłącznie z sympatyi dla naszego młodego Towarzystwa niemałą ponosi ofiarę i aż z Krakowa do nas przybywa. Profeser Bylicki specyalnie oddaje się studjom utworów Chopina — a w największe tajniki dzieł naszego wielkiego mistrza wnikać i odtwarzać takowe nauczył się jako długoletni uczeń księżnej Marceliny Czartoryskiej, w muzycznym świecie cenionej i znanej uczennicy Chopina i dozgonnej jego przyjaciółki.

Lat kilka także krztałcił się prof. Bylicki u Zarzyckiego, Kątskiego, Rubinsteina, a wreszcie u Leszetyckiego. Program gry prof. Bylickiego będzie następujący:

Sonata h-moll — Chopin; nocturno h-moll — Chopin; etiude a-moll — Chopin; Ewgeni Onegin — Pabst. Nadto urozmaicą program prześliczne śpiewy solowe uczennicy Lampertiego i chóry wybornie przez dyrygenta „Lutni" p. L. Broeckerego wyćwiczone.

To też niewątpliwie wszyscy tłumnie w niedzielę dnia 30-go bm. o godz. 8-mej na wieczornicę się zgromadzimy, żeby napawać się biesiadą prawdziwie artystyczną, a dla nas tak rzadką.

Bilety jak zwykle w firmie A Rose. — Członkowie mają prawo do 2 biletów w połowie ceny.

Raszków. Kupiec p. St. Lesiński, od lat 18 zasiedziały w naszem mieście, kupił w tych dniach majątek Tokarzew w powiecie ostrzeszowskim, obszaru 1500 mórg

włącznie 500 mórg lasu, za pośrednictwem firmy Drwęski i Langner w Poznaniu, za cenę przeszło 200,000 mr.

Szczęść Boże na nowej siedzibie.

— **Kościan**. Świeżo odbył się w Czempiniu na sali p. W. Szukalskiego pod dyrekcyą p. L. Durczykiewicza koncert instrumentalny, który wypadł znakomicie. Publiczność nie szczędziła oklasków. Dochód z koncertu przeznaczono na rzecz Towarzystwa pań św. Wincentego á Paulo w Czempiniu. Po koncercie odbyła się zabawa z tańcami; bawiliśmy się prawdziwie po polsku, gdyż tańczyliśmy tylko krakowiaki, obertasy i mazury. Panu Durczykiewiczowi i koncertantom składam w imieniu wielu przyjaciół staropolskie: „Bóg zapłać!“

Kościaniak.

— † **Bytom** (G. Ś.) Dnia 9-go bm. umarł nagle rażony paraliżem w Królewskiej Hucie dyrektor tamtejszego Banku ludowego, ś. p. Franciszek Macha w 42-im roku życia. Przedtem był kontrolerem w tutejszym Banku ludowym i tak w Bytomiu jak też w Królewskiej Hucie zjednał sobie sympatyę ogółu. R. i. p.

Wiadomości literackie.

Nakładem księgarni Chrzanowskiego i Kucnera w Poznaniu, wyszła nader pożyteczna książeczka do nabożeństwa pod tytułem „*Mały wybór nabożeństwa dla dzieci*“, które jeszcze nie były u spowiedzi św., napisana przez Józefa Chociszewskiego.

Potrzeba tego rodzaju tanich książeczek do nabożeństwa oddawna była wskazywana i odczuwana przez ludzi mających z małemi dziećmi do czynienia, to też osoby interesowane powitają ten dobry pomysł młodej a ruchliwej firmy z wielkiem zadowoleniem.

Treść cała bardzo umiejętnie zebrana, autor bowiem na początku książeczki umieszcza piękną modlitwę „Jezus jako wzór i przykład dla dzieci“, następnie pacierz, modlitwy poranne, wieczorne, sposób słuchania Mszy św. z obrazkami, które objaśniają czynności kapłana przy ołtarzu, — oprócz tego książeczka zawiera wiele jeszcze innych pięknych modlitewek dla dzieci.

Książeczka przedstawia się bardzo ładnie, druk bowiem wyraźny i papier również dobry, oprawa kartonowana i przy tem niebywała cena, *bo tylko 10 fen. za egzemplarz już oprawny*.

Spodziewamy się, że książeczka, jakiej dotychczas nie mieliśmy, przy nadchodzącej gwiazdce będzie bardzo pożytecznym podarkiem mianowicie dla dzieci wiejskich, na co zwracamy uwagę Przewielebnemu Duchowieństwu, rodzicom i opiekunom maluczkich.

Od Redakcyi.

Panu A. Ł. w Schöningen. — Nie umiemy powiedzieć ile towarzystw polskich jest w Helmstedt. — Adres „Dzien. Berlińskiego“: Berlin O. Koppenstr. 79. Przesełamy pozdrowienie.

Panu A. G. w Pakości. — Zakład kliszów: A. Fiedler Poznań, ul. Berlińska. — „Iskry“ lwowskiej nie znamy.

Panu T. W. w Krakowie. — Rolę wójta Tomasza w „Ciarachach“ grał p, Turski, pilny i pracowity artysta, występujący na scenie naszej przeważnie w rolach charakterystycznych.

„Eli“ — poste restante Śmiechów. — Wszelkich artykułów i t. d., zaopatrzonych pseudonimami nie zamieszczamy, a choćbyśmy nawet znali i nazwisko autorki nie moglibyśmy zamieścić na razie, gdyż musimy wpierw zużyć materyał nagromadzony w naszej tece redakcyjnej.

Imci Księdzu Wł. J. w G. — Każda księgarnia udzieli w tej sprawie informacyi i nadeśle na życzenie cennik. Polecamy księgarnie: Chrzanowski i Kucner św. Marcin, oraz A. Cybulski św. Marcin.

Humorystyka.

Stary elegant.

Jak stara gwardya napoleońska umierała, lecz nie poddawała się, tak typ zwany „starym elegantem“ nie kapituluje do ostatnich chwil żywota przed zębem czasu.

Na wszystko znajdzie sposób: siwieją mu wąsy — czerni; zjawi się łysina — pokrywa ją peruką; zęby wymówią posłuszeństwo - wprawia co rychlej przepyszne perły po 6 marek sztuka. I zawsze wyświeżony, wypomadowany, opięty, radby wznawiać wrażenie z czasów, gdy się miało wąs barwy naturalnej, na głowie czuprynę niby las dziewiczy.

A potem te wspomnienia! któż ich może mieć więcej nad starego eleganta? Naprzód było się elegantem młodym, potem w kwiecie wieku, potem dojrzałym, potem przejrzałym, aż oto życie przyniosło tytuł „starego“.

To też, gdy się zejdą dwa takie typy, lubią gwarzyć o dawnych czasach przy cygarze i czarnej kawie. Mieliby do opowiedzenia niejedno, bo żyli dużo i przeżyli dużo a jednak wciąż powracają do tego samego przedmiotu:

— Tak, tak — wzdycha jeden, co się to też spustoszeń narobiło w świecie. Ktoby tam zliczył!

— Niestety — wzdycha jeszcze żałośniej drugi — po czasie spustoszeń przyszły i na nas spustoszenia czasu...

MANJA WIELKOŚCI.

Zgrabna Ziuta, panieneczka
Pełna krasy,
Uczenica pensyonarka
Z trzeciej klasy, —
Idąc dzisiaj za przykładem —
Jako słyszę, —
Miast się uczyć gramatyki —
Wiersze pisze!
Jaś, gamazak z czwartej klasy,
Dziecko prawie!
Tworzy „wizje“ i „nastroje“
W szkolnej ławie!
Zdziś, co nigdy nie przekroczył
Oślej ławy,
Gdzieś na konkurs teraz tworzy
Dramat krwawy!
Słowem — skrobią w dzień i w nocy —
Zimą — latem, —
Gdyż dziś każdy chce być sławnym
Literatem!

Eszet.

Dobry dentysta.

Przechodzień z bólem zębów do przechodnia zdrowego:

— Panie dobrodzieju, gdzie tu mieszka dentysta, który rwie zęby bez bólu?

— Idź pan na prawo, a już na rogu ulicy usłyszysz wrzaski jego pacyentów.

Mała różnica.

Inspektor podatkowy: A czy nie posiadasz pan jakich kapitałów, listów zastawnych, lub tym podobnych?

Artysta: Listów zastawnych? Pan niezawodnie chce powiedzieć kwitów lombardowych?

Na ulicy.

— Czy to prawda, żeś dostał w twarz wczoraj w restauracyi?

— Prawda, ale nie w restauracyi, tylko w cukierni.

— No i cóż, będzie pojedynek?

— Mój drogi, żebym ja się chciał bić za każdym razem, jak dostanę w twarz, to bym już dawno nie żył.

W handlu.

Zechciej mi pani wierzyć, że ten materjał na suknię żałobną jest doskonały. Jeszcze po śmierci drugiego małżonka będzie pani miała z niego użytek.



NADESŁANE.

Zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom na ogłoszenie firmy *J. Kocheim* w Poznaniu przy ulicy Zamkowej 4 pod tytułem: *Wielka wyprzedaż gwiazdkowa po nadzwyczaj tanich cenach.*“

Cierpiącym na reumatyzm zwracamy uwagę na nowy środek, który pod tytułem „*Ratunek*“ ogłasza wynalazca pomiędzy inseratami.

Podmyśli nadczłowieka

Najszkodliwszymi z głupców są głupcy uczeni.

*

*

*

Życie jest ucztą lecz często bez chleba.

Pismo jak

„PRACA"

powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim!

Abonament na miesiąc grudzień wynosi na poczcie

tylko 42 fen.



S. Święcicki
Poznań, ul, Fryderykowska 33.
816
Magazyn garderoby męzkiej
i dla chłopców.

W. Niedbalski — Poznań,
ul. Rycerska nr. 1. narożnik pl. Wilhelm.
skład delikatesów, kolonialny i win.

Winiarnia

poleca na ADWENT wielki wybór rozmaitych **serów, wędlin i marynatów postnych.** Jarzynki i owoce, konserwowane i suszone

bardzo tanio!

Specyalność:

kawy palone i herbaty!

Instrumenta muzyczne.

Kto chce prawdziwie tanio bardzo dobrze i rzetelnie kupować harmoniki skrzypce, klarnety, flety, trąby, bassy katarynki, samogrające pozytywki (werki), bębny itd., lub chce mieć doskonale i tanio wykonaną reparacyę starych skrzypców i najrozmaitszych instrumentów, niech się uda do fabryki i największego oraz najtańszego składu instrumentów w **Poznaniu** 684

F. NIEWCZYKA
ul. Wilhelmowska nr. 14.

J. Silski,

mistrz stolarski,
Poznań, ulica Wrocławska nr 31
poleca swój

magazyn mebli

założ. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu*, znanej dobroci.

Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader nizkich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

KONKURS

na posadę asystenta przy katedrze Zoologii w Akademii rolniczej w Dublanach z płacą roczną 1200 koron i wolnem pomieszkaniem kawalerskiem albo relutum.

Ubiegający się o tę posadę winni przedłożyć na ręce podpisanej Dyrekcyi.

1. Metrykę urodzenia; 838
2. Krótki życiorys;
3. Świadectwo ukończonych studyów akademickich, oraz wykaz dotychczasowych prac naukowych i laboratoryjnych.

Termin wnoszenia podań upływa dnia 1-go lutego 1903. roku.

Dyrekcya Akademii rolniczej
w Dublanach pod Lwowem.

Frommel m. p.
Dyrektor.

Własna pracownia.

Meble

skromne i wykwintne
kompletne urządzenia mieszkań,
portyery, story, dekoracye
w najnowszym stylu
polecają: 843

GABRYELEWICZ & TYRANOWSKI

Poznań, ul. Wiktoryi 14.

Ceny nizkie.



Największa nowość!

W państwie niem. co do użycia marka ochronna.

Koncertowy piston — akordeon

w zbudzeniu wszędzie wskutek dokładnej konstrukcyi, bardzo dobrej budowy i taniej ceny wielkie zainteresowanie.

Bez znajomości nut może każdy najładniejsze sztuki do tańca, marsze śpiewy itd. wygrać. Instrument ten ma 28 głosów przy cudownie zadziwiającem towarzyszeniu basu.

Sztuka kosztuje tylko **3,50 M.**

Szkoła darmo, tuzin 36 mk.

Illustr. pyszne katalogi o cytrach. skrzypcach, harmonikach itd. franko,

E. L. Brückner
Klingenthal i. Sa. (752)

Jedyny polski specyalny skład robót ręcznych
pod dawną firmą

EUGEN WERNER

właśc. A. Fromm, ul. Wilhelmowska Nr. 18. **Poznań,**
blisko kościoła św. Marcina
poleca

wielki wybór w najnowszych robótkach od najdrobniejszych dziecinnych do najkosztowniejszych **kościelnych haftów.** Wszelkiego rodzaju roboty większe, jak koronki do obrusa, alby, komże, słupy do ornatów, stuły etc. i **kobierce krzyżowe,** robotę, urządza się i wykonuje podług poszczególnych życzeń w najkrótszym czasie. Potrzebne do haftu złota, jedwabie, wełny, bawełny, kanwy, **tiul** grochowy i **siatkowy** i najnowsze wzory i rysunki są zawsze na składzie.

Zamiejscowe zamówienia wysyła się przez zaliczkę odwrotnie. Osobom znanym wzory i roboty do wyboru, ale uprasza się przy żądanem wyborze o bliższe oznaczenie rodzaju robót. 765

Zadziwiająco tanio!

Złote masiw kolczyki,
8 karat stęplowane (333)
pod gwarancyą. 604



Cokolwiek by się nie podobało, chętnie z powrotem odbieram.

Największy wybór kolczyków. Nowości!

Cennik darmo i franko.

Nr. 32
para 7, 8, 10. 12 i 14 mk.
Na życzenie bez orzełków.



Nr. 33
lub wężyki para 5, 6, 9, 10 i 12 mk. Kolczyki okrągłe, Crete i wężyki złote para 3, 4, 6, mk.

M. Szczepaniak,

zegarmistrz w Krotoszynie,
Krotoschin, Bz. Posen.

Zegarki bardzo tanio.

Na gwiazdkę najlepszy podarek



Broszka

mat emaliowana
oprawa doublé 2,30 franko
Cennik darmo każdemu.

Wszelkie nowości w artykułach mezkich

jako to:

kapelusze,
krawaty,
rękawiczki,
kołnierzyki
bieliznę,

Tapety
(przeszło 500 deseni)



drążki do firan i portyer,
rozety,
rolosy,
ceraty

poleca po umiarkowanych cenach

W. HAHN (Władysław Hahn.)

POZNAŃ, Stary Rynek nr. 55.

810

Największą radość sprawicie pani domu przez podarowanie

na Święta Bożego Narodzenia 844

paczki pocztowej zawierającej 2/1, 3 mniejsze lub 4/2 butelek sławnych

wódek

zdrowotnych i deserowych.

B. Kasprowicza

w Gnieźnie. Filia: **Hamburg. Schleusenhof.** Za marek **5, 6, 7** i wyżej włącznie małych buteleczek, oryginalnego kieliszka, opakowania i porta



Zamawiajcie przez Waszych

kupców

żądając cennika lub też wprost adresując w takim razie *B. Kasprowicz.* Gnesen.

Ostatnie odznaczenie: 844

Grand Prix w Paryżu 1902.

Reprezentanci na Francyą:

W. de Gizbert – Studnicki & Cie

PARIS

rue Jean Jaques Rousseau 58.

Hurtownie! **Detalicznie!**

Farby, pokosty, lakiery,

froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów ect., jako też potrzebne **szczotki i pędzle** do tychże. **Carbolineum** koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie.** 738

Centralna Drogerya

J. Czepczyński.

Poznań, Stary Rynek 8.



Telefon nr. 238

Za darmo wysyłam mój wielki **katalog ilustrowany,** zawierający wiele nowości w **towarach stalowych z Solingen,** broni, biżuteryach złotych i srebrnych, naczyniach gospodarczych etc. etc.

30 dni na próbę



5 lat gwarancyi!

Wysyłam 1 brzytwę nr. 27 pięknie szlifowaną, włącz. **z pochwy 1,50 m. Nr. 29** ślicznie wyżłobioną, **2 m.** Nr. 33 ff. wyżłobioną **2,50 mk.** Brzytwa zabezpieczająca od zarżnięcia, patentowana, **3 mk.** Za niepodobające się zwracam pieniądze 679

Emil Jansen,

dom tow. stal. fabrycz.-wys.

Wald-Solingen 23 P.

Bardzo ważne dla nadchodzących wyborów

jest

Prawo o zebraniach i stowarzyszeniach

w państwie niemieckiem,

opisujące: 806

Zebrania w miejscach zamkniętych, sprawy publiczne, polityczne, kto ma donieść policyi o zebraniu, której policyi trzeba donieść, obowiązki i prawa policyi, rozwiązanie zebrania, zebrania pod gołem niebem.

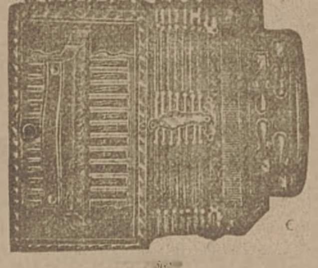
prawa robotników,

zbieranie składek i obronę prawną.

Dodatek zawiera: **Prawo o rozszerzaniu pism i druków** oraz zestawienie wyroków najwyższych trybunałów.

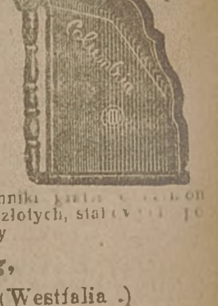
Kto się chce pouczyć, ażeby w danym razie wiedzieć, jak sobie wobec policyi postąpić, niechaj się jak najspieszniej w ten **tak niezbędny podręcznik dla każdego Polaka** zaopatrzy; kosztuje on 60 fen., z przesyłką 65 fen., i jest do nabycia w wszystkich księgarniach polskich oraz

w księgarni A. Stoca. w Katowicach G. S



Na 8 tygodni na próbę

wysyłam każdemu za zaliczką bardzo piękną, elegancką, nadzwyczaj mocno zbudowaną **ręczną harmonikę koncertową** z niezłomnem urządzeniem sprężynowemi ze 16-tu dwurzędowemi świetnemi trąbami, ankrem lub gwiazdą, 16-tu pierścieniami odgłosu wemł i jeszcze z wielu innem, pięknemi ozdobami. 10 klawiszami 3 basami, 2 rejestrami, 2 kluczami 2 daleko się wyciągającemi, bardzo mocnemi podwojnemi miechami ze stalowemi ochronnemi przykryciami i z dwóchórową znakomitą muzyką organową, 50 głosów, wielkości 35 ctm. Taki, **przepyszny instrument** kosztuje tylko jeszcze 4 i pół marki, z dzwonkiem 30 fenygów więcej, **trzychórowy z prawdziwemi rejestrami i 70 głosami tylko 6mk., czterochórowy z 4 prawdziwemi rejestrami i 60 głosami tylko 7 i pół marki, sześciochórowy z 6 prawdziwemi rejestrami i 130 głosami tylko 11,50 mk., dwurzędny z 4 basami, 110 głosami i 19 klawiszami tylko 10 mk. Szkoła gratis.**



Wielka przepyszna **cytra Columbia** ca 51 cm. długa, z 5 akordami, 41 strunami, szkołą do samonauki tylko **8,50 mr.**

Cytry akordowe z ... anulami 25 strunami i przyrządem, tylko **6,50 mr.** Opakowanie bezpłatnie. Porto 80 fen., zmiana dozwolona, niema ryzyka. Cenniki ... kach i cytrach, zegarkach, łańcuszkach, tow. złotych, sta... monetkach i t. d. Proszę zamówić tylko u firmy

Robert Husberg,

Neuenrade Nr. 27 Westfalen (Westfalia.)

Szklanne ozdoby na choinkę.

Wielkie sortimenta ca 300 sztuk, albo w większym formacie 200 sztuk, albo też całkiem duże 120 sztuk ozdobione prawdziwem srebrem, pomalowane i upiększone **kule, jaja, balony, figury, owoce, przedmioty fantazyjne etc.** wysyła w starannem opakowaniu franko za kistę 4,80 mk. (zaliczka 20 fen. więcej).

Do każdej przesyłki załączam gratie pięknego aniołka i 1 karton rosy śniegowej na choinkę. Mniejszy sortyment 3 mrk.



L. Greiner Sohn

Lauscha S.-M., Bahnhofstr. 360. 825.



A. Czy nie mówiłem ci że tylko u Białasa w Poznaniu warto tobie zegarek kupić?

S. Prawda nie usłuchałem twej rady a teraz mój zegarek więcej jest u zegarmistrza niż u mnie w kieszeni. 464

A. Więc powiadam ci żebyście obrączki ślubne teraz u **Białasa** kupili.

S Tak, tak wiem że p. **Białas** ma obrączki z jednolitej sztuki złota robione, więc **nigdy** pęknąć **nie** mogą.

A N apisz po cennik.

Wolne posady.

Ucznia

syna porządnych rodziców przyjmie zaraz lub 1 Stycznia rb. 840

St. Młodecki

piekarnia, Pobiedziska.

Ucznia

do destylacyi

poszukuje 819

I. Maciejewski

Poznań, Chwaliszewo 71.

Posady

dla bon

i wychowawczyń

z doskonałym niemieckim. Pensya 2.0—310 marek. Wiadomość: 797

Karpińska

Warszawa, Szpitalna 8.

Gospodynią

dobrze poleconą

do samotnego starszego Pana w mieście przyjmie **M. B** II post rest. Toruń.

Dzierżawy.

LOKAL

handlowy z pomieszkaniem w najgłówniejszej ulicy, nadający się do każdego interesu mam zaraz do wydzierżawienia 834

M. Jachocki.

Trzemeszno-Tremessen.

Kram

przy kościele katolickim, w ulicy ożywionej, w którym znajdował się

skład skór

jest od 1 kwietnia 1903 do wynajęcia z dwoma sklepami. Bliższych szczegułów udzieli

A. Szmytkiewicz

Września. 841

Sprzedaże.

Aby wyprzątnąć wszelkie **filcowe obuwie** będę takowe (727)

po bardzo taniej

cenie wyprzedawał.

S. Lisiewicz

Poznań, Berlińska ul. 12.

Bardzo tanio

jest na sprzedaż gr.

płaszcz watowany i peleryna

w dobrym stanie. Dowiedzieć się można na Rycerskiej ulicy nr. 7. IV. piętro z frontu pomiędzy godziną 1—3 i 5—7.

Aparat fotograficzny

prawie nowy

z wszelkiemi przyborami stosowny na podarek gwiazdkowy tanio do nabycia. Gdzie? wskaże eksp. „Pracy“ pod lit. *K 100.* gr

Rozmaite.

„Sui“

tuczy świnie kolosalnie 50 f. paczka w aptekach i drogeryach, 816,

---

Koła do wozów

dostarcza z suchego drzewa dobrze odrobione i po taniej cenach. 244

Głogowska parowa fabryka stelmachska

Bredner i Okoniewski

(Głogowa, Glogau i. Schl.)

Co tylko wyszło:

Der kleine Rechtsanwalt

von Dr. F. Koenig.

Dzieło to w języku niem. zawiera objaśnienia prawne we wszystkich sprawach sądowych, jak skarżyć, jak się bronić samemu przed sądem, wraz z podaniem kosztów sądowych i adwokackich, według najnow. prawa, z wielu formularzami i przykładami. Niezbędne dla każdego. Cena egzempl. 1 rk. z przesyłką 1.10 mrk. przez zaliczkę 1,35 mk.

Księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp., Poznań, św. Marcin 16/17.

Niesłychanie tanie a jednak prawdziwe!

ALBUM

Sławnych mężów polskich w wielkim formacie zawiera 72 portretów najznakomitszych naszych poetów, historyków, powieściopisarzy, artystów, malarzy, rzeźbiarzy, wojowników kościoła katol. i t. d. najstaranniej i trafnie wykonanych w bogatej oprawie z wyciskami złoconemi na okładce i kosztuje tylko 1 arkę z przesyłką 1,30 m., przez zaliczkę 1,55 m

Księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp., Poznań, ul. św. Marcina 16/17.

Hurtownie. Telefon  Nr. 460. Detalicznie.

Fabryka wyrobów złotniczych

o sile elektrycznej.

Stanisław MANCZAK,

POZNAŃ,

ul. Wilhelmowska nr. 24.



poleca na upominki okolicznościowe

wyroby ze złota, srebra i alfenidy.

Najtańsze źródło zakupu, oraz prawdziwie obfity, wybór



garniturów i pierścionków brylantowych

po każdej cenie

Obrączki ślubne.



wykonuje w przeciągu niecałej godziny

Reparacye o ile możności na poczekaniu

Przy zakupnach i sprzedażach prosimy Szan. Czytelników powoływać się na „Pracę“, jako na źródło, skąd odnośne informacye zaczerpnęli.

Zdolnego (837

zastępcę

na miasto Poznań oraz

2-ch uczni do kantoru

20—30 Rollerów

potrzebuje zaraz

fabryka cygar w Miłosławiu.

J. SMOOLIBOWSKI.

DOM

dwupiętrowy, narożnik z wielkim podwórzem, wjazdem etc. w ożywionej ulicy, blisko koszar, korzystne miejsce dla każdego przemysłowca w większem mieście Ks. P., jest pod bardzo korzystnymi warunkami do sprzedania. Zgłoszenia przyjm. Ekspedycja „Pracy“ p. lit. **A. B. 1000.**

Kto ma szczery zamiar

kamienicę

korzystnie kupić lub sprzedać, ten niech się z całem zaufaniem zgłosi do

Drwęskiego & Langnera,

Domu Bankowo-Komisowego

Ul. Rycerska 38. ***w Poznaniu*** *Telefon 1246.*

Specyalny wydział

dla kupna i sprzedaży kamienic, wil, placów budowlanych i t. d. lecz tylko dla Poznania i przedmieść.

Pośrednictwo sumienne i dyskretne.

Zwracamy uwagę na dołączony do dzisiejszego numeru „Pracy„ cennik firmy Rudolfa Petersdorffa w Poznaniu. Dom konfekcyjny „pod wielką fabryką.“